

STANISŁAW SZCZEPAŃSKI

**Z DZIEJÓW  
RUCHU LUDOWEGO  
W POLSCE.**

- I. WSPOMNIENIA, PRZEŻYCIA I FAKTY.  
II. SYLWETKI POLITYCZNYCH DZIAŁACZY.



KRAKÓW 1924 — NAKŁADEM AUTORA.

STANISŁAW SZCZEPAŃSKI

**Z DZIEJÓW  
RUCHU LUDOWEGO  
W POLSCE.**

- I. WSPOMNIENIA, PRZEŻYCIA I FAKTY.  
II. SYLWETKI POLITYCZNYCH DZIAŁACZY.**



**KRAKÓW 1924 — NAKŁADEM AUTORA.**

200 2 40





164849

K-280/85

*Ruch ludowy w Polsce czeka na historyka, któryby zechciał nim się zainteresować i potomności pamięć o nim przekazać. Ktokolwiek tej ciężkiej pracy kiedyś się podejmie, niewątpliwie natrafi na wielkie trudności. Polityczny ruch ludowy, który zapoczątkowany został w Małopolsce, objął dziś całą Polskę, a niektórzy z jego kierowników i pomniejszych działaczy objęli poczesne stanowiska w społeczeństwie. Złożyła się na to praca dwóch pokoleń, z których jedno już dogorywa, a drugie ster bierze w swoje ręce. Piszący należy do owego starszego pokolenia. Pokolenie to wiele przeżyło, wiele ucierpiało, zanim zdołało przeorać twardą glebę i umożliwić następcom swoim siewbę i zbiory... Wiele z tych przeżyć i faktów zatarło się już w pamięci ludzkiej, o wielu szczegółach zapomniano, a niestety agitacyjna praca polityczna tak w gorączkowym prowadzona była tępie, iż nie było czasu ani sił na gromadzenie tych wszystkich materiałów, któreby potomności służyć mogły za źródła do poznania przeszłości ruchu ludowego. Nie chcę pisać historii ruchu ludowego, albowiem nie czuję się do tego powołanym, ale jako ten, który od kilkadziesiąt lat w ruchu ludowym jako pracownik tkwił i jako tako ze stosunkami się obeznał — pragnę luźne moje spostrzeżenia, wrażenia, fakty przelać na papier i pozostawić w spuściźnie moim przyjaciołom politycznym z tą zachętą, aby i oni to, co z przeżycia swego pamiętają, zechcieli spisać i potomności przekazać. Gdybym choć jednego z tych ludzi, którym dzieje ruchu ludowego w Polsce, a w Małopolsce w szczególności są znane, mógł zachęcić do pracy nad gromadzeniem materiałów historycznych i ich syntetycznym ujęciem — miałbym prawdziwe zadośćuczynienie.*

STANISŁAW SZCZEPAŃSKI.



*Moim przyjaciołom politycznym*

*poświęcam.*

I.

## Wspomnienia, przeżycia i fakty.

Przez cztery lata istnienia niepodległego państwa polskiego zebrało się aż nadto dużo dowodów, iż rzesza ludowa zdobyła sobie w państwie polskim znaczny wpływ i duże znaczenie. Prawie połowę poprzedniego Sejmu ustawodawczego stanowili postowie-włościanie, a i w obecnym Sejmie, mimo nieprzychylniej im agitacji, liczba ich, wpływy i znaczenie są olbrzymie. Dwa wielkie stronnictwa „Wyzwolenie“ i „Piaśt“ oparte o masy wyborców wiejskich, stoją na straży interesów swoich mocodawców, rywalizując przytem zażarcie o ich względy. Obok nich także głos podnoszą drobne grupy, jużto będących na dorobku politycznym, jużto nieszczęsnych rozbitków politycznych. Na czele rządu stoi chłop z pod Tarnowa, wychowany w galicyjskiej szkole politycznej. Polityczny ruch ludowy niewątpliwie przybrał na rozmiarach, skoro zasilany działaczami z owej galicyjskiej szkoły politycznej, przez jednych przeklinanej, przez innych błogosławionej, przeniósł się poza rogatkę galicyjską i krzewi się bujnie w Kongresówce, w Poznańskim, na Pomorzu. Ruch ten młody i świeży w tych ziemiach polskich, w Małopolsce jednak posiada kilkudziesięcioletnią tradycję polityczną. Już bowiem z nastaniem ery konstytucyjnej chłop w „Galicji i Lodomerji“ uzyskał prawa polityczne i powołany został do decydowania o sprawach publicznych. Od r. 1861 chłopci w Małopolsce brali udział w wyborach do Sejmu krajowego we Lwowie oraz w wyborach do Rady państwa w Wiedniu, nie mówiąc o wyborach do pomniejszych ciał samorządowych jak Rady powiatowe i gminne. Nic też dziwnego, że lud od tylu lat wciągany w wir polityki, uzyskał w walce wy-



borczej główną podstawę politycznego uświadomienia. Stąd też pochodzi owe zjawisko, że nad naszym politycznym życiem w ogólności górują Małopolanie, a w szczególności oni też kierowniczą rolę odgrywają w życiu wszystkich stronnictw ludowych.

\* \* \*

Już w r. 1861 znaleźli się w pierwszym Sejmie krajowym we Lwowie posłowie chłopci i to w pokaźnej liczbie 39 ludzi. Nigdy potem w Sejmie galicyjskim przez cały czas jego istnienia tak pokaźna cyfra posłów chłopów nie zasiadała. Zaniepokojona ówczesna większość szlachecka wyszukiwała najróżnorodniejsze sposoby, godne kauzypardów z Psiej Wólki, aby z okazji tak zwanych „rugów poselskich“, dokonywanych na pierwszych sejsjach sejmowych, jak największą ilość chłopów-posłów ze Sejmu „wyrugować“. Już z protokołów stenograficznych pierwszych posiedzeń Sejmu można nabrać wyobrażenia o poglądach politycznych i społecznych owych chłopskich posłów. Utała się opinia, że byli to wszyscy służalcy starostów, przez starostów wypchani na stanowiska poselskie i t. p. Opinia nie słuszna i nie znajdująca żadnego potwierdzenia w aktach sejmowych. Z protokołów sejmowych jedno tylko wynika, że administracja nie wspierała czynnie szlacheckiej partji, że sprawę wyborów sejmowych traktowała ze stanowiska litery prawa. Zupełnie innym czynnikiem należy przypisać fakt wybrania tak znacznej ilości posłów włościan. Przedewszystkiem w pamięci ludu wiejskiego tkwiła jeszcze świeżo pamięć pańszczyzny, zniesionej przed laty zaledwie trzynastu i obawa przed jej przywróceniem. W chwili wyborów sejmowych zaognienie stosunków między wsią a dworem doszło do punktu kulminacyjnego, był to bowiem moment prowadzenia tysięcy sporów o lasy i pastwiska, czyli tak zwana regulacja „serwitutów“. Jak te procesy wyglądały, co za nadużycia przy nich się działy, nie sposób opisywać, ale że pamięć krzywd, wyrządzonych ludowi, do dziś żyje, może zaświadczyć fakt, że przecież w r. 1919, gdy zebrał się pierwszy Sejm ustawodawczy Rzeczypospolitej Polskiej, wszystkie stronnictwa ludowe złożyły wniośki nagłe o przeprowadzenie rewizji tych procesów serwitutowych, a referatów w tej sprawie podjęli się dwaj posłowie piastowcy prawnik Dr Bardel i włościanin Krężel. Obaj, niestety, uwikław-

szy się w różne interesy parcelacyjne i przemysłowe, z obowiązków swoich jako referentów wcale się nie wywiązali.

Między włościanami z Sejmu z r. 1861 nie brak było ludzi nawet z nieco szerszym horyzontem. Do takich posłów należał np. włościanin Jan Siwiec, pochodzący z gminy Las w powiecie żywieckim. Długie lata służył on w Styryi przy wojsku, tam nauczył się doskonale władać językiem niemieckim. Pamięć o nim wśród ludu do dziś żyje, a chłopci opowiadają, iż jego interwencjom u władz wiedeńskich zawdzięczają korzystne uregulowanie spraw serwitutowych. Nic dziwnego więc, że przy wyborach sejmowych w okręgu wyborczym żywieckim na 143 głosujących prawyborców, Siwiec otrzymał 100 głosów. Tego utalentowanego włościanina bali się posłowie-właściciele dóbr, jak ognia. To też zadecydowali „wyrugować“ go ze Sejmu, na tej podstawie, iż rzekomo nie posiadał biernego prawa wyborczego. Książę Sanguszkowski, hr. Potocki, poseł Zyblikiewicz i referent Smarzewski cudów w Sejmie dokazywali za unieważnieniem mandatu Siwca, wszystko jednak spaliło na panewce, akta przemówiły bowiem na korzyść Siwca. To też gdy następnych włościan podobnie, jak i jego, próbowała większość z Sejmu rugować, zabiera głos w ich obronie i mówi z goryczą: „Te wszystkie tutaj rozbiegania, czy wybór jest ważny, czy nieważny, prowadzą tylko do rozjątrzenia umysłu (szmer na lewicy), proszę wysłuchać wprzód: ten ma mówić, kto ma zaufanie ludu, ten obywatel, któren od 30 lat podatek płaci, którego cała gmina obrała... Chociaż w ustawie są paragrafy, jednak one są tak zimne, jak wy sędziowie, którzy je wykładacie... W dniu 24 kwietnia 1861 r. w dwóch wnioskach, złożonych w Sejmie, sformułował poseł Siwiec niejako pierwszy program minimalny sejmowej grupy włościańskiej. Wnioski te podpisali obok niego posłowie chłopci: Antoni Rogalski, Jan Kobylarz, Franciszek Krawczyk, Michał Żebrawski, Maciej Pudło, Michał Leśniak, Antoni Błaz, Tomasz Drozd, Piotr Hebda, Józef Liszcz, Jan Przybyło, Maciej Czechura. Wniosek pierwszy dotyczył najaktualniejszej na ówczesne czasy sprawy regulacji serwitutów. Poseł Siwiec wykazuje w nim, że posłowie włościańscy pragną zgody i porozumienia ze szlachtą i podaje nawet sposoby rychłego jej osiągnięcia.

Wniosek powyższy brzmi:



„Na wczorajszym posiedzeniu wniesiono sprawę zgody i jedności w narodzie, bez której u nas nie ma dobra i pomyślności powszechnej na przyszłość. Wysoki Sejm zrozumiał, iż to jest sprawa najważniejsza, ważniejsza w naszym położeniu niż sprawa statutu krajowego; bo bez tej zgody do naprawy statutu przystąpić nie można.

Pragnąc, aby ta zgoda jak najprędzej przysłała do skutku, czynię wniosek z następujących 2 punktów składający się:

1) Wysoki Sejm zawięże tak właścicieli większych jak i włościan, aby dla szczęścia i pomyślności naszej wspólnej ojczyzny, wszystkie spory swoje dobrowolnie zagodzili między sobą. Gdzie gminy mają prawa sprawiedliwe i uzasadnione, tam niech właściciele więksi od wszelkich sporów odstąpią, te prawa im przyznają, i to co się gminom należy, niech im natychmiast oddadzą. Gdzie przeciwnie pretensje i żądania gmin żadnej nie mają podstawy słusznej, tam niech gminy od niesprawiedliwych wymagań odstąpią, i nigdy ich więcej nie wznawiają.

2) Gdzieby na wezwanie Wysokiego Sejmu spory między właścicielami większymi a włościanami nie dały się w polubowny zagodzić sposób, tam powinny sądy przysięgłych nieodwołalnie na gruncie podług sumienia i sprawiedliwości rozstrzygać. Sądy te przysięgłych tylko do załatwienia tych sporów wybrane być mają tak z gmin jak i z właścicieli większych. W każdym powiecie niech gminy wybiorą 3 sędziów, a właściciele więksi także 3. Ci sześciu mają się wspólnie zgodzić na siódmego człowieka znanego z serca, z sumienności i sprawiedliwości, i tego prezesem swym, a w razie równych głosów superarbitrem obrać. Co te powiatowe sądy przysięgłych w sporach między właścicielami a gminami orzekną, to ma już pozostać na wieczne czasy, i przeciw temu nie będzie rekursu, ani dla właścicieli większych, ani dla gmin. Tym sposobem w jak najkrótszym czasie uczyni się koniec wszystkim sporom i niezgodom, które tylko naszym dobrym chęciom i poświęceniom na przeszkodzie stają. Tym sposobem usunie się zawadę najgłówniejszą do budowania piękniejszej przyszłości na podstawie zgody i chrześcijańskiej miłości dla naszej wspólnej ojczyzny.

Lwów, dnia 16 kwietnia 1861.

Antoni Rogalski, poseł z Skałatu i Grzymałowa. Jan Siwiec, poseł krajowy z żywieckiego okręgu, włościanin z gminy Las“.

Program zawarty w tym wniosku sejmowym, niestety mimo gorącego polecenia go przez referenta Krzeczunowicza, nigdy nie doczekał się realizacji, a biedny poseł Siwiec za odwagę bronienia słusznej sprawy ludu doczekał się... śmierci skrytobójczą ręką zadanej mu przez jakiegoś obszarnika w Bielsku na Śląsku cieszyńskim. Gromada posłów włościańskich przy następnych kadencjach sejmowych coraz bardziej topniała. Tak zwane wyborcze komitety marszałkowskie postarały się, aby przy pomocy deprawacji wódką, kielbasą, ściółką i innymi wygodzeniami taką ilość chłopskich głosów skaptować, jaka była potrzebną do wyboru szlachcica w miejsce chłopca. Brak było chłopom organizacji politycznej, brak niezawisłej prasy ludowej, a co najważniejsze brak przywódców, którzyby chcieli na barki swoje brać troski o ogół i borykać się z przeciwnościami w imię polepszenia doli ludu. A jeśli do tego dodamy straszliwy stan kultury w „Galicji i Lodomerji“, ciemnotę wprost z barbarzyństwem graniczącą nędzę skrajną, to nie zdziwimy się, że w takich warunkach trudno było w sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych latach o demokratyczny ruch ludowy.

O ile chodzi o prasę ludową, to poza okresem „wiosny ludów“, który zaznaczył się i w Galicji wzmożeniem wydawnictw pism ludowych jak np. „Krakusa“, „Szkółki ludowej“ w Krakowie, „Przyjaciela Ludu“ we Lwowie wychodzącego pod redakcją Juliana Aleksandra Kamińskiego, wreszcie „Tygodnika Wiejskiego“, który wychodził w Wadowicach—przez jakie trzydzieści lat nie było żadnych pism przeznaczonych dla ludu. Dopiero w sześćdziesiątych latach Czesław Pieniążek założył we Lwowie dwie gazetki „Pszczółkę i Wieniec polski“ a ks. Hołyński wydawał „Chatę“ i „Nowiny“, które tu i ówdzie zdobywały sobie czytelników nie tyle w gronie chłopów, ile w gronie organistów, zarządców dworskich, duchowieństwa i t. d. Zachodnie powiaty sporo czytały „Gwiazdki Cieszyńskiej“.

Pismo „Wieniec polski“ i „Pszczółka“ zadecydowały w dużej mierze o kierunku ruchu ludowego a to dzięki temu, że dostały się one w ręce Stojałowskiego, który — jak sam to w jednym ze swych kalendarzy przyznaje — kupił je za 100 złr. od dotychczasowego wydawcy Pieniążka. Pod jego redakcją pisma się nieco ożywiły. Pisma te zachowały charakter klerykałno-konserwatywny i utorowały drogę Stojałowskiemu do tłustego pro-



bostwa w Kulikowie. Pisma te spełniały jednak wielką rolę, przyzwyczajają bowiem wieś do czytania gazet. W roku 1889 „Pszczółka” brzęczała już całkiem politycznie, zachęcając chłopów do pamiętania przy wyborach o swych interesach i wyborze własnych przedstawicieli. Nauka nie poszła w las, albowiem chłopci wybrali kilku posłów włościan, którzy tem od swoich poprzedników się wyróżniali, że zrozumieli wartość organizacji i przynajmniej na terenie sejmu we Lwowie utworzyli klub „katolicko-ludowy”, do którego weszli posłowie-chłopi: Franciszek Kramarczyk z pow. bialskiego, Stanisław Potoczek z nowosądeckiego, Wojciech Stręk z ropczyckiego, Data z Jasielskiego a później przybył jeszcze Wojciech Mizia z żywieckiego. W tym to czasie (r. 1889) Bolesław i Marja Wysłouchowie założyli we Lwowie dwutygodnik „Przyjaciół Ludu”, który także w czasie kampanji wyborczej w szranki bojowe wstąpił i również przez rzucenie hasła „chłopi wybierajcie chłopów” wiele do zwycięstwa klubu katolicko-ludowego dopomógł. Ani Stojałowski, ani Wysłouchowie nie potrafili jednak tego dokazać, aby ów klub obok skurnych klerykalnych kmieci zechciał jakiś program nakreślić i zwolenników dla programu tego kaptować. Na wszelkie przedstawienia w tym kierunku poseł Kramarczyk stale odpowiadał: „mój program jest taki: dziś postawię wniosek w tej sprawie, a jutro postawię znów w innej sprawie”. Wolne od posiedzeń sejmowych chwile obracał p. Kramarczyk nie na propagandę polityczną, ale na przewodniczenie w chórze śpiewającym różaniec. W tymto czasie także ks. Stojałowski dzięki Badeniemu i sufraganowi lwowskiemu Puzynie, dostał się do więzienia we Lwowie w którym siedział także Wysłouch jako przestępca polityczny. Pobyt w więzieniu lwowskim przeszkodził Stojałowskiemu w uzyskaniu mandatu do Sejmu, o tyle wyszedł mu jednak na dobro, że pod wpływem dyskusji z więźniami politycznymi prowadzonej, obeznał się z grubsza z doktrynami społecznymi.

W kalendarzu z r. 1896 sam Stojałowski pisał, że więzienie lwowskie, które przeszkodziło mu w kandydowaniu do Sejmu — nasunęło myśli o potrzebie zorganizowania stronnictwa ludowego: „Żem o takim programie — pisze Stojałowski — i takim stronnictwie myśleć rozpoczął to jedno mam do zawdzięczenia Badeniemu i biskupom, to jest właśnie nie ich osobom, bo oni mi tego nie życzyli, ale ich prześladowaniu. Już w r. 1889,

gdy podczas wyborów sejmowych siedziałem w więzieniu we Lwowie, spotkałem się tam z p. Wysłouchem i jego spółtowarzyszami, którzy równocześnie tam siedzieli, pod zarzutem zakładania „tajnych socjalno-demokratycznych stowarzyszeń”. Z panem Wysłouchem samym widywaliśmy się w więzieniu tylko z daleka i nie mogliśmy tam nic ze sobą mówić, ale z jego towarzyszami, młodzieńcami ze szkół rolniczych i t. p., mogłem się widywać i rozmawiać często, a nawet pożyczaliśmy sobie wzajemnie książki. Sprawa ta jest już dawna, minęło lat przeszło sześć, więc nikomu z wówczas oskarżonych nie zaszkodzi, gdy dziś o tem piszę. Otóż wyznam, że pierwszy popęd do pilniejszego i gruntownego badania tak „zwanej kwestji socjalnej” dali mi w więzieniu lwowskim owi towarzysze i spółnicy Wysłouchowi. Dowiedziałem się od nich, że oni rzeczywiście założyli tajne towarzystwo socjalno-demokratyczne, które głównie młodzież kończąca nauki ma werbować, a równocześnie wydawać pismo dla włościan: „Przyjaciół Ludu”, aby zasady te i dążności krzewić między ludem. Oczywiście prowadziliśmy długie o tem dyskusje, a każdy z nas, jeden drugiego chciał nawrócić do swoich poglądów. Tym celem dał mi mój towarzysz książkę o socjologii, napisaną przez żyda, którą skwapliwie przeczytałem... To mi też powiedział ów kolega więzienny, że zlecenie i misja do tej agitacji wśród ludu wyszła z Królestwa Polskiego i że zbierają się na to fundusze wszędzie, a gdybym ja szedł z nimi, to mnie też pomogą“...

Wszystkie te apele, jak później się pokazało, na nic się nie zdały, uparty szlagon Stojałowski i despota z jezuickiej szkoły, nie był zdolny do podporządkowania się jakiegokolwiek organizacji, on sam pragnął być wszystkim. To też szedł inną drogą, zaś Bolesław Wysłouch i Marja Wysłouchowa w „Przyjaciół Ludu” wytyczali drogi demokratycznemu ruchowi ludowemu. Praca ta jednak szła jak po grudzie.

Pismo prowadziło żywot anemiczny. Rozchodziło się w niewielu ilościach egzemplarzy, mało jeszcze miało nerwu politycznego w sobie, a chłopci stosunkowo słabo podówczas byli przyuczeni do czytania pism, a jeszcze mniej do prenumerowania za opłatą. Było to typowe pismo „po profesorsku” dla chłopów redagowane. Jednym z czynnych współpracowników tego pisma



był Stapiński, ostrożnie chowający się za pseudonim Jana Budzińskiego. Któżto był ten młody akademik?

\* \* \*

Straszną była dola studenta VI. klasy gimnazjalnej Jana Stapińskiego, kiedy z dnia na dzień zaczął tracić wzrok i w końcu prawie zupełnie zaniewidział. Biedne ojczyisko, niezamożny chłopiec w Budzynie, przysiółku Haczowa, nie miał na to środków pieniężnych, by tracącemu wzrok chłopcu przyjść z pomocą, a matucha, do dokończenia studjów nieszczęśliwego Jaśka nie wiele przykładła wagi, choć wspólnie z mężem może i bolała nad tem, że z Jaśka ksiądz nie będzie. Ojciec Jasia lubiał, ale był dziwnie bezradnym, nie wyszukiwał zupełnie sposobów na ratowanie chłopca i przyzwalał milcząco na to, że Jasiek stał się w domu niepotrzebnym i prawie że korzystał z miłosierdzia sąsiadów. Jakkolwiek jako student nie grzeszył zbyt wielkimi zdolnościami w nauce, to przecież tu i ówdzie mówiono, że szkoda chłopaka, bo gdybyta jeszcze te dwie klasy przelaź, toby go do Seminarjum duchownego w Przemyślu przyjęto, ojca by już nie kosztował, a możeby ta dla wsi był honor, że wieś miałaby kiedyś człowieka, któryby na prymicjach wszystkim głowę uściskał. W głowach litościwych ludzi powstała myśl, by przecież jakoś zaopiekować się chłopcem, by mu zebrać trochę pieniędzy na drogę do Krakowa, bo i po Haczowie i całej okolicy słuch chodził, że w Krakowie jest sławny okulista profesor Rydel, który bardzo zmyślnie katarakty z oczu zdejmuje i wzrok tego rodzaju oślepcom przywraca. Haczów dawną należał do wsi i zamożnych i inteligentnych, a w powiecie Brzozowskim, do którego należy, zawsze miał pewien urok i respekt i gdy się powiedziało o kimś, że pochodzi z Haczowa, dawało to pewne o człowieku dodatnie wyobrażenie. Po jakimś czasie plany serdecznych sąsiadów Stapińskiego przemieniły się w czyn. Jan Stapiński za zebrane pieniądze przez dobrych ludzi zjechał do Krakowa, poddał się potrzebnej operacji i po pewnym czasie, jako uzdrowieniec wrócił do swojej wioski ojczystej, serdecznie wdzięczny współziomkom, że go o szczęśliwość odzyskania wzroku przyprowadzili. Wdzięczny student od tego czasu przemyślał nad tem, jakby ludziom przysłużyć się odwzajemnić i prawdopodobnie już wtedy przy-

szła mu do głowy myśl o pracy dla ludu, jakiej się z czasem poświęcił. Wrócił tedy Jan Stapiński do gimnazjum w Jaśle i tu w roku 1888 złożył w czerwcu maturę gimnazjalną. Przez czas uczęszczania do szkoły aż do matury wyrabiał się i w szkole na pewnego rodzaju przywódcę kolegów, chociaż egzamin dojrzałości złożył z przeciętnym wynikiem. W parę dni po maturze już rzucił się w wir walki politycznej, zaczął urządzać wiece polityczne po wsiach powiatu krośnieńskiego i jasielskiego. Agitując przy wyborach w r. 1891 za kandydaturą profesora Pawłowskiego, zaczął stawiać pierwsze kroki w polityce ludowej. W tym czasie na widnokręgu politycznym jaśniały były proboszcz kulikowski ks. Stanisław Stojalowski. Do niego więc wnet Stapiński zgłosił swój akces, a wyjechawszy do Lwowa zapisał się tam na fakultet prawniczy. W życiu Stapińskiego zaszedł wówczas moment, który wielki wpływ wywarł na jego kierunek myślowy. Oto w tem swoim politycznym zaraniu spotkał kobietę Anielę S., która niezwykły wpływ miała na tego człowieka, a jako istota szlachetnego serca, dobrze oddziaływała na młodego swego później przeszło 20-letniego idealnego przyjaciela. Na pewnej zabawie ludowej w Haczowie poznał się w gospodzie z urodziwą blondynką, prawdziwie polską dziewczyną i często wspominał tę chwilę, w której serce jego na widok urodziwej Anieli zapalało do niej miłością. Kiedy w lat kilkanaście po poznaniu się z nią zjechał raz Stapiński do Haczowa i gospody, w której się poznał z Anielą nie zastał, ciężko zapłakał nad tym zburzonym pomnikiem swej pierwszej miłości i długo, długo marzył, jakby do tego dojść mogło, by mógł wspomniany plac pozostały zakupić i na nim ufundować „Dom ludowy w Haczowie“ ku wiecznej pamięci swoich uczuć. Planu tego jednak nigdy nie zrealizował.

Że Stapiński nie ożenił się z Anielą, a inną kobietę wziął sobie za żonę, to trudno zrozumieć i też on sam tego wytłumaczyć nie umiał.

Kiedy Stapiński przybył do Lwowa i zapisał się na prawo, otrzymał posadę z rąk Henryka Rewakowicza w redakcji „Kuryera Lwowskiego“. Rzecz prosta, że posada ta była marniutką i Stapiński ciężko musiał się borykać z swym losem. Henryk Rewakowicz przygarnął młodego entuzjastę i jako chodząca encyklopedia w niejednej rzeczy go pouczał.

Młody akademik, pochodzący ze wsi, doskonale rozumiał,



że redagowanie „Przyjaciela Ludu“ winno być śmielsze i pełne temperamentu. To zaś prawdą jest, że nad wyraz zacny i godny człowiek, jakim jest Wystouch po doktrynersku pismo prowadził, a przytem nie był to osobnik, któryby zapalał do siebie i do swego programu ludzi mało politycznie wyrobionych. W Stapińskim już wówczas nurtowała myśl, by „Przyjaciela Ludu“ wziąć w swoje ręce i wlać w niego więcej politycznej krwi i ruchu.

\* \* \*

W r. 1893 założoną została pierwsza polityczna organizacja chłopska „Związek Stronnictwa Chłopskiego“ w Nowym Sączu. Wzór statutu dla tej organizacji opracował Stojałowski. W dniu 3 lipca odbyło się pierwsze konstytuujące zgromadzenie tegoż związku. Rej w związku wodzili dwaj kmiecie posłowie Kramarczyk z bialskiego i Stanisław Potoczek z nowosądeckiego, ojciec dzisiejszego pośła Narcyza Potoczka, a nadto szwagier Potoczka, exteolog, który był właściwą duszą tego związku i Stanisławowi Potoczkowi mowy sejmowe pisywał. Aliści rywalizacja między Kramarczykiem i Potoczkiem o kierownictwo w związku tym, a następnie obawa Stanisława Potoczka o mandat poselski pchnęła go w objęcia partji stańczykowskiej. Z chwilą wydania przez biskupów zakazu czytania „Wieńca polskiego i Pszczółki“, Potoczek założył pismo „Związek Chłopski“ i odseparował się zupełnie od Stojałowskiego. Odtąd „Związek“ zamiast służyć interesom chłopów, stał się niebawem ekspozyturą obskurnego klerykalizmu i serwilizmu wobec stronnictwa konserwatywnego, a potem co kilka lat przez Potoczków dźwigany na nogi i szeroko reklamowany w owem piśmie. „Związek chłopski“ służył ich ambicjom prawie aż do roku 1906, poczem utonął w klerykalnem „Centrum ludowem“. Po rozpadnięciu „Centrum“, gdy Stapiński był u szczytu potęgi, Stanisław Potoczek przystąpił do ludowców, zaś brat jego Jan Potoczek wstąpił do stronnictwa katolicko-ludowego (Wałęgowców) i jako prezes tego stronnictwa w r. 1918 uzyskał mandat do Sejmu ustawodawczego polskiego. Przy wyborach w r. 1922 poślizgnęła mu się jednak noga, albowiem nawet katolicy nie starali się go szczerze popierać, skompromitował ich bowiem ten „prezes“ przywłaszczeniem sobie wypożyczonego mu przez kancelarję sejmową łóżka, które po skończeniu się sesji sejmowej cichaczem z Warszawy wywiózł do swego domu w rodzinnej wsi... Świ-

niarsku. Drugi wódz „związkowców“ Kramarczyk niebawem dostał intratną pocztę w Osieku, a w r. 1903 skompromitował chłopów postawieniem wniosku o oddanie nauczania w szkołach ludowych siostronom służebniczkom, organistom i wysłużonym feldweblom, który to wniosek podsunął mu — niestety — prezes krakowskiej Akademji Umiejętności Stanisław hr. Tarnowski.

Na takie manowce zesłała pierwsza organizacja polityczna chłopska i jej kierownicy.

\* \* \*

W tym czasie włodarzył „w Galicji i Lodomerji“ wszechwładny podówczas namiestnik Kazimierz Badeni. Tropił on wszelkie objawy niezależnego od stańczyków ruchu politycznego. Sławne były jego praktyki, jakimi prześladował ks. Stojałowskiego, którego w krótkiej drodze nakazał aresztować, gdzie go tylko żandarmerja dopadnie. Również i Stapińskiego tu i ówdzie żandarmi „prowadzili w paradzie“, ponieważ jednak jako agent asekuracyjny papiery swoje „miał w porządku“, łatwiej więc wyślizgiwał się z rąk żandarmskich. Pewnego pięknego poranku nawet cała redakcja „Kurjera Lwowskiego“ miała znaleźć się pod kluczem na to, aby się jakiś czas przesiedzieć... bez powodu. Satrapa Badeni starał się o relegowanie z Uniwersytetu we Lwowie Stapińskiego, a w Krakowie Ignacego Daszyńskiego.

W takichto warunkach Stapiński rozpoczął karierę polityczną właściwie rozpoczął ją jako stojałowczyk z rówieśnikiem swoim i kolegą szkolnym ś. p. Włodzimierzem Lewickim, późniejszym słynnym adwokatem krakowskim, zamordowanym przez Janinę Borowską. Lewicki był pod wieloma względami różny od Stapińskiego. Był to człowiek wielkiej inteligencji, poetycznych aspiracji, wybitny mowca, choć słaby działacz polityczny. Natomiast Stapiński był człowiekiem małej wiedzy, prawie że zerem umysłowem, nie znachodził dość cierpliwości i czasu na dalsze kształcenie się, a nieboszczyk Stojałowski nierządkiem swoim grubym głosem wyśmiewał jego „mądrość“, tytułując go nie inaczej jak „Capiński“. Zato Stapiński odznaczał się od wczesnej młodości sprytem, przenikliwą chytryością a przytem ambicją przystęgiwania się biednemu ludowi. Nie za śmiałe będzie określenie, że Stapiński niejednokrotnie w swem życiu, w początkach swej kariery



politycznej, był w stanie wprost popełnić przestępstwo kryminalnej natury, byle tylko pomóc biednemu chłopu. Z dnia na dzień w miarę zrozumienia doli chłopskiej wyrabiła się w nim wściekła nienawiść do klasy obszarnej i całą jego myślą przewodnią było tak działać i tak dobierać ludzi do siebie, ażeby rządy oligarchów szlacheckich, podkopywać i systematycznie i wytrwale wytrącać konserwie władzę z ręki. Koło „Kurjera Lwowskiego“ a jeszcze ściślej mówiąc, około przezacnej pary małżonków Wystouchów zaczęło coraz więcej gromadzić się ludzi, którzy rozumieli pracę nad ludem. Gołębiej dobroci ś. p. Marja Wystouchowa miała dar nadzwyczajny gromadzenia koło siebie jednostek, które jej słowa i działalność rozumiały i wyczuwały.

Stapiński poezji w polityce nie uznawał. On wierzył tylko w realne polityczne chwytły, w nieugiętą chłopską wolę i konsekwentne postępowanie. W r. 1894 podczas Powszechniej wystawy we Lwowie zebrało się spore grono podówczas działaczy politycznych i po naradach, w których uczestniczyło wielu wybitnych już ówczas ludzi utworzono „Polskie Towarzystwo Demokratyczne“ a pierwszym jego prezesem był sławny niegdyś poseł lwowski Dr. Karol Lewakowski, zmarły przed kilku laty w Rapperswyłu, w Szwajcarii. W gronie tych ludzi znalazł się Henryk Lewakowicz, Wystouchowie, Jakób Bojko, Dr. Szymon Bernadzikowski a sekretarzem tej grupy został Stapiński. W r. 1895 w lipcu na zjeździe w Rzeszowie Towarzystwo Demokratyczne przekształciło się w **Polskie Stronnictwo Ludowe**. Stronnictwo to niebawem znalazło się w walce politycznej z konkurentem, Stojałowskim.

Pierwsze starcie młodego akademika Stapińskiego ze Stojałowskim odbyło się wcześniej na tle nie tyle politycznym, ile ekonomicznym. Stojałowski w r. 1891 propagował myśl utworzenia spółki „Towarzystwa Ochrony Ziemi“, która miałaby być rodzajem banku parcelacyjnego. Inicjatorem tego stowarzyszenia był niejaki Zalański, podobno zbankrutowany szlachetka z okolicy Wilamowic w powiecie białskim, współpracownik pism „Wieniec polski“ i „Pszczółka“. Pisma te szeroko reklamowały stowarzyszenie i zachęcały do wpłacania udziałów. Chłopi chętnie udziały wpłacali w bezgranicznym zaufaniu do Stojałowskiego i jego przedsięwzięć. Aliści te przedsięwzięcia nie bardzo do smaku przypadały Wystouchowi. Pierwsze Walne Zgromadzenie „Towarzystwa Ochrony Ziemi“ miało się odbyć w Wadowicach. Wystouch wy-

słał do Wadowic Stapińskiego z instrukcjami i podobno z napisaną mu mową, aby na Walnem Zgromadzeniu forsował przyjęcie ograniczonej poręki wbrew Stojałowskiemu, który propagował porękę nieograniczoną. Stapiński przyjechał dzień przed Walnem Zgromadzeniem do Wadowic, a tu spotkawszy ludzi z sąsiednich okolic, zebrał ich wszystkich i poszedł z nimi do sąsiedniej Choczni. Kto był w Choczni, ten z pewnością pamięta okazały dom murowany przy kościele w pobliżu, jak krzyżuje się droga gminna z gościńcem rządowym. Był to dom ówczesnego wójta, zarazem organisty choczeńskiego, Józefa Czapika. Znany to był na okolicę wójt, albowiem funkcje urzędowe sprawował jeszcze za czasów pańszczyzny, obeznany był zgrubsza z ustawami, nieźle się wystawiał, a posiadając znajomość tajemnic życia nie tylko swego kanonika, ale i okolicznych proboszczów, terroryzował wszystkich. U tego to satrapy choczeńskiego Stapiński przez całą noc usposabiał członków „Towarzystwa Ochrony Ziemi“ przeciw nieograniczonej poręce, projektowanej przez Stojałowskiego. Stojałowski o niczem nie wiedząc, na drugi dzień po przybyciu do Wadowic na Walnem Zgromadzeniu grzmiał za przyjęciem nieograniczonej poręki, odpowiadał mu zaś Stapiński, a chłopci, ostrożni z obawy przed utratą swego majątku, przyznali rację Stapińskiemu. Stojałowski, drażliwy despotą, nigdy nie mógł tego występu darować Stapińskiemu. Zaraz po zgromadzeniu w swych pismach rzucił się na niego, a polemika, jaka się stąd wywiązała, przez długi czas zajmowała chłopskie umysły. Niebawem nadszedł jednak czas pogodzenia się chwilowego tych antagonistów. Zbliżyły się wybory do Sejmu we Lwowie. Badeni, chcąc unieszkodliwić Stojałowskiego, w listopadzie 1894 r. zamknął go do aresztu i trzymał go przez cały 1895 rok, tj. przez okres wyborczy. Wówczas to z siedzącym w więzieniu Stojałowskim porozumiał się Stapiński i w jego zastępstwie objął redakcję gazetki i kierownictwo akcją wyborczą. Wybory przyniosły Stojałowskiemu tryumf.

Mimo wielkiej presji prokuratorów, starostów, żandarmów, wybrani zostali zwolennicy Stojałowskiego: Styła w wadowickim, Średniawski w myślenickim, Dr Bernadzikowski w brzeskim, Bojko w dąbrowskim, Krempa w mieleckim, Wójcik w krakowskim, Szwed w żywieckim.

Tych postawiły i wybór przeprowadziły gazety: „Przyjaciół





Ludu“, „Wieniec polski i Pszczółka“. Wyszli też z wyborów popierani przez „Związek chłopski“ Stanisław Potoczek w nowosądeckim i Kramarczyk w białskim oraz bezpartyjny Żardecki w łańcuckim. Niedługo jednak ta sielanka trwała. Stojałowski wyszedł z więzienia i zapragnął być szefem stronnictwa i doradcą politycznym świeżo wybranych posłów. Opracował program oparty o encyklikę „Rerum novarum“ i program ten postanowił narzucić stronnictwu i klubowi świeżo obranych posłów ludowych, a oczywiście nie zapomniał też o firmie stronnictwa, które się miało nazywać „chrześcijańsko-ludowe“. Zjazd działaczy i posłów zwołany do Rzeszowa miał rozstrzygnąć o kierunku i charakterze stronnictwa. Wysłouch, Rewakowicz byli stanowczymi przeciwnikami koncepcji „chrześcijańsko-ludowej“, widząc w niej zarodek klerykalnego chłopskiego stronnictwa, Stapiński „strzygł i golił“, wyraźnie się nie deklarując, a chłopi z filozoficznym spokojem czekali, która z poważniejszych stron będzie mieć większość. Na zjeździe w Rzeszowie większość mowców a w tem sześciu posłów wypowiedziało się przeciw Stojałowskiemu, dwóch posłów Szwed i Styła nie zdeklarowało się, wówczas Stojałowski zapowiedział rozwód i zapewnił, że choćby w Sejmie miał tylko dwóch swoich posłów Szweda i Styłę, to i tak przez nich w Sejmie i w kraju będzie robił swoją politykę. A na to wstaje Styła i odpowiada: „jeśli ks. Redaktor myśli, że ja będę jego mamelukiem, to się grubo myli“. W ten sposób zwycięscy przy wyborach Stojałowskiemu został po wyborach tylko jeden Szwed, ale i ten niebawem z posłem Kramarczykiem poszedł pod komendę biskupa Puzyny. Na wsi między ludowcami a stojałowczykami rozgorzała walka. Demagog Stojałowski toczył ją z ludowcami o „chrześcijańską“ firmę stronnictwa, zarzucając ludowcom służbę u żydów, masonów i farmazonów.

Od tej pory zaczęła się też otwarta walka między Stapińskim a Stojałowskim. Walka ta przy wyborach do parlamentu wiedeńskiego dała 7 posłów Stojałowskiemu. Ludowcy dostali tylko 3 mandaty. Stojałowski nękany przez żandarmów, obłożony klątwą kościelną, szczególnie prześladowany przez późniejszego kardynała krakowskiego Puzynę, zaczął się chwiać i popadać w zwątpienie. Kiedy w r. 1897 wyprowadził pewną liczbę swych posłów do parlamentu austriackiego, Kazimierz Badeni zaczął szukać jakiegoś sposobu do „pogadania“ z nim. Jest faktem, że

do jakiegoś porozumienia między Stojałowskim a Badenim przyszło, jakoteż i to faktem, że Stojałowski głosami swych chłopskich posłów uchronił Kazimierza Badeniego, jako prezydenta ministrów austr. od postawienia go w stan oskarżenia za niekonstytucyjne sławne rozporządzenia językowe dla Czech. W tym czasie Stojałowski został wyłapany na pisywaniu artykułów do „Dniwnika Warszawskiego“, pisma rosyjskiego wychodzącego w Warszawie, w których to artykułach rozważał myśl porozumienia się polsko-rosyjskiego, oraz zarzucono mu pewne konszachty z rosyjskimi sferami rządzącymi, o czem na jednej z rozpraw sądowych zeznawał szeroko przywódca endecki ś. p. Popławski. Temi faktami został Stojałowski mocno skompromitowany. Z opowiadania posła ś. p. Kubika wiem, że ks. Stojałowski chciał — w pewnym czasie — zaprowadzić swoich posłów do obozu chrześcijańsko-społecznego Dra Luegera, że odbywały się w tym kierunku pewne narady między Luegerem i Gregorikiem z jednej strony, a ks. Stojałowskim z drugiej. Ks. Stojałowski w towarzystwie wiedeńskiego korespondenta „Nowej Reformy“ Grzegorza Smólskiego woził swoich posłów do pewnego letniska koło Badenu, ale konferencje te kończyły się tylko na dobrem popiciu, szczególnie przez Tomasza Szajera, ale do niczego konkretnego nie doprowadziły. Ostatnia konferencja — według opowiadania ś. p. Kubika — skończona też libacją, o mało nie zakończyła się katastrofą, bo podchmieleni posłowie, wietrząc swe główki dla wytrzeźwienia na platformie wagonu, zgubili swego towarzysza podróży Smólskiego, który zleciał z platformy. Ale według osądu ks. Stojałowskiego, że „i nad pijakiem Pan Bóg czuwa“, życia on nie stracił, a tylko, przybycie do Wiednia przepłacił kilkugodzinnem spóźnieniem. Po pojednaniu się Stojałowskiego z Badenim dla Stronnictwa Ludowego nadchodziła szczęśliwsza gwiazda. Ludowcy korzystają z błędów Stojałowskiego i podkopują z dnia na dzień zaufanie jego wśród ludu. Rezultat tej pracy był, bo Stojałowskiego opuścił poseł Kubik, najbliższy jego towarzysz i przyłączył się do klubu ludowców, przyczyniając się w dużej mierze do rozgromienia stronnictwa „stojałowczyków“.

\* \* \*

Tą część wspomnień nakreślam pobieżniej oraz może nie zawsze ściśle, albowiem w tych czasach szerszego udziału w ży-



ciu politycznym nie brałem. Sposobiłem się wprawdzie do tego, należałem jako słuchacz Uniwersytetu do „Towarzystwa Przyjaciół Oświaty Ludowej“, a mieszkając we Lwowie przez 2 lata wspólnie z Antonim Chołoniewskim, dzisiaj wybitnym publicystą, a podówczas współpracownikiem pisma lwowskiego „Przegląd“, ocierałem się o postępowe sfery młodzieży akademickiej i rękodzielniczej. Antoni Chołoniewski był równocześnie korespondentem „Wolnego Polskiego Słowa“, wychodzącego pod redakcją Jeża-Miłkowskiego w Genewie. Dla chleba pracował w redakcji konserwatywnego pisma, z przekonania był skrajnym radykałem. Do naszych przyjaciół zaliczali się: Stanisław i Tadeusz Rychterowie, pierwszy, obecny sekretarz teatru we Lwowie, drugi malarz, oraz Wiktor Chajes, dzisiejszy bankier lwowski, który za przeszkrobanie czegoś „antypaństwowego“ w V. kl. gimn. dostał się do kozy i opuścić musiał mury gimnazjalne. Wyznaję szczerze, że moim pierwszym promotorem politycznym był Antoni Chołoniewski, który swoim narodowym radykalizmem zaprawiał mnie do przyszłej służby w szeregach „Polskiego Stronnictwa Ludowego“.

Zdobywszy samodzielność i możliwość politycznego działania, osiadłszy w roku 1901 w gminie Zabłociu przy Żywcu postanowiłem działać w duchu „Polskiego Stronnictwa Ludowego“. Wypadek zdarzył, że ś. p. poseł Kubik miał proces z ś. p. ks. Stanisławem Stojałowskim w sądzie powiatowym w Żywcu. Ciekawość zaprowadziła mnie na salę sądową. Tu zapoznałem się z ś. p. posełem Kubikiem. Znajomość zamieniła się wnet na szczerą, dozonną przyjaźń. Z chęcią służenia dobrej sprawie zgłosiłem się do posła Stapińskiego, a przypominając mu się jeszcze z czasów gimnazjalnych w Sanoku, zgłosiłem chęć współpracy na terenie okręgu, w jakim mieszkalem. Wkrótce Jan Stapiński odwiedził mnie w Żywcu i odtąd przeszło lat 20 wiernie stałem przy boku tegoż człowieka i dopiero po wstąpieniu tak zwanym kongresie rzeszowskim w dniu 27 sierpnia 1922 r. szeregi jego opuściłem. Przez tak długi przeciąg czasu uczestniczyłem prawie we wszystkich najdonioślejszych obradach „Polskiego Stronnictwa Ludowego“, przez długi szereg lat zasiadałem w Radzie Naczelnej tegoż stronnictwa, przez kilka lat byłem skarbnikiem P. S. L., żyłem przez 20 lat w najserdeczniejszej osobistej przyjaźni z posełem Stapińskim, przysłuchiwałem się najrozmaitszym obradom i przypatrywałem się najroz-

maitszym faktom, byłem wtajemniczony w najrozmaitsze rzeczy, sprawy i czyny, popełniane w stronnictwie. Od osoby Karola Lewakowskiego aż do osoby najmłodszego pokolenia politycznych działaczy, t. j. Dra Putka i redaktora Sanojcy, znałem osobiście prawie wszystkich przywódców i wybitnych działaczy, jacy się przez te 20 lat w stronnictwie ludowym przesunęli. Miałem możność i sposobność niejednemu z nich dokładnie się przysłuchać i przypatrzeć, oraz poznać co robił i czynił, a zdając sobie zupełnie jasno sprawę z odpowiedzialności, jaka ciąży na wyprowadzaniu politycznych faktów, oświetlających działalność najwybitniejszych posłów ludowców, chciałbym *sine ira et studio* krytycznie oddać każdemu, co się mu słusznie należy. Przypuszczam, że może moje zapiski i spostrzeżenia przyszedłemu historykowi ruchu ludowego na co się przydadzą.

\* \* \*

Stapiński, otrzymawszy w darze od Bolesława Wysłoucha tygodnik „Przyjaciel Ludu“ wraz z wszystkimi ciężarami, ale i odbiorcami, niezawsze regularnie prenumeratę płacącymi, zrażony wreszcie do Lwowa, w którym pewne niepowodzenia rodzinne zmuszały go opuścić to miasto, postanowił swoje lary i penaty wraz z redakcją i administracją wspomnianego pisemka przenieść do Krakowa. O ile sobie przypominam było to w r. 1902. Niezadowolony w żadne środki pieniężne, skromy aż do skrajnej możliwości, zjechał do Krakowa i tu postanowił dalej redagować i wydawać to pismo. Urządził się, jak mógł najskromniej, uporządkował administrację i z dużym zapałem wziął się do roboty. Walczyć musiał niejednokrotnie z trudnościami rozmaitego rodzaju i ciężkimi do pokonania. Zdarzało się często, że krucho było z kieszenią, że nie było za co nie tylko drukować pisma, ale i ponosić pocztową opłatę wysyłki, a do tego niejednokrotnie p. Stapińska otwierała mu czarne horoskopy na przyszłość, robiąc mu wyrzuty, że nie dba o byt rodziny, pogrąża ją w niedostatku i zaniedbuje obowiązki, jakie powinien mieć wobec żony i dzieci. Stapiński wprawdzie bolał nad tem, ale jednym uchem słuchał, a drugim wypuszczał te narzekania żony, pocieszał ją, że „jakoś to będzie“, że pismo się rozwinie i że choć skromną egzystencję przy swej pracy znajdzie. Na tem tle częste były mię-



dzy Stapińskimi nieporozumienia. Stapiński gryzł się tem nieraz mocno, ale z uporem trwał w swoich postanowieniach coraz mocniej i szczerzej, a na żadne kompromisy ani z własnym sumieniem, a tem mniej z kimś z wrogiego obozu byłby nie poszedł za żadną cenę. Przyjaciele polityczni jego, do których i ja miałem sposobność należeć, ratowali pismo, jak mogli, popierali, czem mogli, byle nie upadło. Wreszcie „Przyjaciel Ludu“ zaczął pod kierunkiem Stapińskiego rozwijać się i głosić rzetelnie prawdziwie chłopskie słowo. W r. 1903 na kongresie rzeszowskim, któremu Henryk Rewakowicz przewodniczył, redaktor Bolesław Wysłouch i Dr Szczepan Mikołajski referowali program „Polskiego Stronnictwa Ludowego“, który był bądź co bądź wybitnym dokumentem historycznym, świadczącym, że „Polskie Stronnictwo Ludowe“ z pięknym programem postępowym wkroczyło na wieś. Kongres ów bardzo licznie obsesany pozostawił na uczestnikach niezapomniane wrażenie. Zaczęła się praca gorąca, wydano program stronnictwa w tysiącach egzemplarzy, które rozrzucono po kraju, zaczęto w „Przyjacielu Ludu“ pisać w sposób bardzo przekonywujący chłopów a w wielu powiatach znalazło się dużo wybitnych ludzi, którzy to pismo rzeczowymi artykułami zasilali. Rzecz prosta, że taki rozmach polityczny na wsi nie podobał się różnym „wielmożom“. Zaczęto myśleć, jakby tę falę ludową powstrzymać, jakby ten ruch ludowy tępić, a wyznawców tych ideji traktować, jak jakichś buntowników, warcholów. W tym to czasie bujnego rozkwitu ruchu ludowego napisał Jakób Bojko sławną książeczkę p. t. „Dwie dusze“, a dzisiejszy poseł sejmowy i delegat pokojowy rządu polskiego i współtwórca pokoju ryskiego Jan Dąbski pod pseudonimem „Jana Krzesanicy“ napisał broszurkę p. t. „Co to są ludowcy i czego oni chcą“, która się w tysiącach egzemplarzy rozeszła po kraju. Chłopi nie na żarty brali się do polityki. Zapał zapanował wielki, ilość prenumeratorów „Przyjaciela Ludu“ zwiększała się z dnia na dzień, aż tu jak grom z pogodnego nieba padła kurenda biskupa tarnowskiego Wałęgi, rzucająca klątwę na cały ruch ludowy i na czytelników „Przyjaciela Ludu“.

Do śmierci niezapomnę tych wrażeń, jakich doznaliśmy pod wpływem tego biskupiego orędzia. Chwilowo masa ludowa zachwiała się. „Przyjaciel Ludu“ w krótkim czasie stracił coś ze dwa tysiące prenumeratorów, lecz w niedługi czas potem, jakby

przyszło do jakiegoś przełomu duchowego... „Przyjaciel Ludu“ zyskał 3 razy tyle nowych prenumeratorów, przeważnie ludzi młodszych i duchem i ciałem. Stary świat pojęć zaczął się zapadać i utopił się w świecie i brzasku nowego jutra i choć za biskupem tarnowskim poszli inni biskupi, kurendy ich stały się jakby najlepszą odezwą agitacyjną za „Przyjaciela Ludu“. Chłopi nie dostawszy w swojej parafii rozgrzeszenia za czytanie pisma, gdy chcieli swoje sumienie oczyścić z grzechów, chodzili do takich księży do spowiedzi, którzy się ich o przynależność polityczną nie pytali, ani nie pytali się o to, czy czytają „Misje katolickie“, czy „Przyjaciela Ludu“. Starsi wiekiem, a bojący się piekła ludzie, oraz członkowie bractw różańcowych, czy św. Franciszka, przestali czytać „Przyjaciela Ludu“. Zato każdy umiejący czytać postępowy chłop nie mógł się doczekać niedzieli. Po obiedzie wyciągał z za pazuchy przyniesionego z poczty „Przyjaciela Ludu“ i zachłannie go odczytywał. Z chwilą lepszego powodzenia pisma i w domu u Stapińskiego nastąpił lepszy humor. Powodzenie polityczne pchało go do szukania szczęścia i na niwie ekonomicznej. Zaczął przemyślać nad tem, jakby to stworzyć jakąś instytucję, jakiś Bank, czy kasę pożyczkową, któreby umożliwiały chłopu nabywanie kredytu na zakupno ziemi. Dla tych celów wydobył koncesję na założenie Banku parcelacyjnego we Lwowie i taki Bank wspólnie z endekami założył.

\* \* \*

Polskie Stronnictwo Ludowe potężniało i zaczęło propagować walkę i pismem i wiecami za powszechnym prawem głosowania do parlamentu austriackiego. Pamiętnem było ogromne zgromadzenie wszystkich żywołów demokratycznych w Krakowie w ujeżdżalni przy ul. Rajskiej, gdzie obecnie mieści się Opera Krakowska. Wszystkie żywoły demokratyczne przysłały swoich reprezentantów, przemawiali: Stapiński, Daszyński, imieniem demokracji krakowskiej ś. p. Jan Rotter, Dr Michał Grek, a szczytem zainteresowania był referat, jaki wygłosił ś. p. Andrzej Niemojewski, redaktor „Myśli niepodległej“. Wrażenie mowy Niemojewskiego przykryło nawet przemówienia takich mowców, jak: Daszyński i Grek. Udział w tem Zgromadzeniu obliczono na kilka tysięcy głów.



W całym kraju chłopstwo wiecowało, tysiące wysyłało petycji za poparciem zmiany ordynacji wyborczej, a nawet delegacje do Wiednia. Wśród tej ciężkiej walki politycznej spadł na Stronictwo Ludowe cios, umarł bowiem prezes Stronictwa Henryk Rewakowicz. Kiedy po jego śmierci zawakowała godność prezesa Polskiego Stronictwa Ludowego i w celu wyboru nowego prezesa zjechaliśmy się na Radę naczelną w Rzeszowie, czuliśmy, że o godność tą przyjdzie do współzawodnictwa między redaktorem Bolesławem Wystouchem, a Janem Stapińskim. Jan Dąbski, który był już wtedy wiceprezesem stronictwa, wyprotegowany na tą godność przez samego Stapińskiego, gwałtownie agitował przeciwko Stapińskiemu i całą siłą swojej wymowy zalecał nam oddanie godności prezesowskiej Bolesławowi Wystouchowi. Stapiński dyskretnej działał przeciwko takiemu wyborowi. Nie chcąc agitować za sobą, urządził sprawę w ten sposób, że postawił kandydaturę bardzo popularnego wówczas Jakóba Bojki. Bojko ze skromności sobie wrodzonej i ze względów praktycznych tej godności nie przyjął i o ile sobie przypominam na jego miejsce wysunięto kandydaturę również popularnego i niezwykle zacnego człowieka, Dra Szymona Bernadzikowskiego. A kiedy i on za tą godność podziękował, argumentując, że jako człowiek mieszkający na prowincji i wolno praktykujący lekarz nie może oddawać się ciągłym komunikowaniom się z naszymi sferami politycznymi w Krakowie, został na placu jedyny współzawodnik Wystoucha, Jan Stapiński. Przykro nam było nie nadać tego zaszczytu bardzo zasłużonemu Wystouchowi, ale względy praktyczne i tupet, jaki robocie nadawał Stapiński, przemawiały za tym ostatnim. Stapiński niedawno wrócił z podróży swojej po Ameryce. Ameryka olśniła go żywiołową siłą, zetknięcie się z rzeszą chłopską, wytrwale pracującą dla rodziny a nie zapominającą o pomocy dla stronictwa, natchnęło go wiarą, że jest na drodze do stworzenia wielkiej organizacji chłopskiej. Co chwilką powtarzał sobie piosenkę jakąś, przywiezioną z Ameryki, z której słowa pamiętam:

„Ameryka to piękny kraj, to raj, to raj“.

Sytuacja nie była bardzo sympatyczna, gdy przyszło nam wybierać między Wystouchem a Stapińskim bośmy obydwóch cenili. Gdy przyszło do głosowania nad wyborem prezesa, nieznaną większością głosów wybrano Jana Stapińskiego. Sprawie

nadano formy ostre, kiedy Jan Dąbski demonstracyjnie oświadczył się przeciwko Stapińskiemu groźbą, że z Polskiego Stronictwa Ludowego występuje ze swoimi przyjaciółmi, którzy się oświadczyli za Wystouchem. To były narodziny pierwszej frondy w Polskim Stronictwie Ludowym. Dąbski fronując przeciwko Stapińskiemu, czynił to nie z jakichś politycznych względów, tylko ze względów taktycznych. Dąbski założył „Gazetę Ludową“, która bądź co bądź robiła pewną konkurencję „Przyjacielowi Ludu“. Do takiej konkurencji ze Stapińskim, któraby Stapińskiego podkopała, Dąbski nie doprowadził, jakkolwiek był to i mówca i pisarz bardzo zdolny. Stapiński markował swoją „chłopskość“, Dąbski natomiast unikał tego rodzaju demagogii.

Pierwszy rozłam w stronictwie Stapińskiego bardzo zabolął. Byłby chętnie poczynił pewne ustępstwa i starania, by jakoś to zdarzenie naprawić, ale ambitny Dąbski nie okazywał do tego żadnej ochoty, grupował koło siebie rozmaitych działaczy i ostro krytykując „dyktatorskie“ zapędy Stapińskiego, nie chciał z nim ani gadać. Trzeba przyznać, że wszelkie urządzania przez Stapińskiego Kongresów i Rad Naczelnych tak były skonstruowane, że Stapiński mógł zawsze stworzyć dla siebie większość. Przyznać trzeba i to, że szerokie masy chłopskie umiał w każdej chwili dla siebie dobrze usposobić, co szczególnie spostrzegłem swego czasu na Kongresie w r. 1908, gdy chodziło o uchwalenie wstąpienia posłów chłopskich do wiedeńskiego Koła Polskiego. Wówczas jeszcze w Rzeszowie zjeżdżający się do dnia delegaci, mieli pewne wątpliwości, czy takie wstąpienie zostanie uchwalone, to w 3—4 godzin potem, po siarczystym przemówieniu Stapińskiego na przeszło 1300 delegatów, — przeciwko wstąpieniu do Koła Polskiego oświadczyło się zaledwie 15-tu delegatów.

Fronda w stronictwie wywołała silne wrażenie i mocne zakłopotanie. Pamiętam dobrze, że wszyscy byliśmy tym wypadkiem niemile dotknięci i zmartwieni. Szkoda nam było zasłużonego Wystoucha i zdolnego Dąbskiego, lecz w końcu Stapiński z właściwą sobie mazurską zaciętością szedł na wojnę z tymi, którzy mu ją wydali. Dużo było naszych zwolenników, którzy przez pewien czas wahali się, po czyjej stawać stronie. Byli w roli tych dzieci, których ojciec z matką się rozeszli, a ich dziecięce serca rwały się i do ojca i do matki. Szczególne wrażenie



tych wypadków zauważyłem na starszych naszych działaczach, którzy się zżyli z poważnionymi przywódcami i którzy wyczuwali, że wszelkie rozbicie, jakieby ono było, w każdym stronnictwie, a dopiero w chłopskim stronnictwie, przyniesie tylko szkodę ludowi. Jedni poszli za Stapińskim, bo w jego talent organizatorski więcej wierzyli, a nie wierzyli, żeby Dąbski zdołał dokonać większych rzeczy, aniżeli je dokonywał Stapiński. Wierzono w większe doświadczenie polityczne Stapińskiego, nie wierzono, żeby Dąbski talentem swym poprowadził lepiej od Stapińskiego. W końcu wpływy ich na wsi były podzielone, a zwolennicy obu kierunków zaczęli załatwiać spory polityczne przy pomocy... pałek. Ten stan rzeczy budził nie bardzo pożądane refleksje, bo tego rodzaju bratobójcza walka, roznamiętniała i odbierała rozwagę i zmysł orientacyjny. Walka Dąbskiego ze Stapińskim trwała aż do wybuchu wojny. Przy niedoszłych, bo przerywanych wojną wyborach do Sejmu galicyjskiego, gdy w krośnieńskim zakandydował Stapiński, jako kontrkandydat stawał Dąbski. Wojna światowa obydwom przeszkodziła w uzyskaniu mandatu poselskiego.

\* \* \*

Gdy Stapiński patrzył na wzrost stronnictwa, zakłopotał się o to, by je należycie zorganizować wewnątrz. Do tej roboty organizacyjnej zaprosił dziennikarza i nauczyciela gimnazjalnego Władysława Wąsowicza, obecnie oficera sztabowego W. P. I kiedy ta robota zaczęła się prawidłowo, z pewnym systemem i planem, trzeba było pomyśleć o fuduszach dla tej pracy potrzebnych. To co się zaczęło dziać, przerastało siły Stapińskiego. W tym to czasie wprowadzony został do stronnictwa Władysław Długosz. Stapiński ucieszył się tym nabytkiem, albowiem widział w Długoszu człowieka, który zdaniem jego mógł jego zamiary finansować, który był w możności zdobyć się na pański gest i organizację stronnictwa poprzeć do każdej wysokości kosztów. Stapiński zapragnął tedy założenia pisma codziennego, któreby w sposób przystępny, a tanio informowało sfery chłopskie i miejskie, co się dzieje na świecie. Uzyskał koncesję na pismo i za pieniądze, których dostarczył Długosz, założono „Gazetę Powszechną“ w Krakowie. Naczelnym redaktorem zrobiono Władysława Wąsowicza, który był zarazem sekretarzem stronnictwa.

Pismo to wegetowało 2 lata. Redaktorzy nie umieli utrafić w upodobanie czytelników miejskich, dla których pismo przeznaczano. Prenumeratorów zaś ze sfer chłopskich miało zaledwie 67! W końcu pismo zwinięto, a cały deficyt pokrył Długosz. O ile sobie przypominam, eksperyment ten kosztował go blisko 200.000 koron. To była jego „zasługa“ wobec stronnictwa. Za to ten bardzo przeciętnych zdolności człowiek, czujący potęgę swej kieszeni, zapragnął zaszczytów i godności i w danej chwili nawet byłoby mu wszystko jedno, jakiegoby go stronnictwo do swego politycznego serca przygarnęło. Był dzieckiem szczęścia, miał pieniędzy dość, chciał pewnych wpływów dla siebie, coby mu się dla jego rozległych interesów przydało i mam wrażenie, że na wszelkich pomocach stronnictwu znakomicie wyszedł. Nie mogę uwierzyć w to, ażeby rozmyślnie dał się użyć za narzędzie rozbijackie w ruchu ludowym, tylko robił wrażenie politycznego dziecka, które bawione przez takich wygów politycznych, jak Dawid Abrahamowicz zaplątało się Stapińskiemu w nogi i Stapińskiego przewróciło w bagno.

Era Długosza zaznaczyła się wielkim przyływem rozmaitych ludzi, którzy wleźli w stronnictwo dzięki konszachtom, jakie Stapiński począł robić z konserwatystami. Stapiński tłómaczył przed nami, że radby w każdej potrzebie mieć odpowiednich ludzi, którymby mógł właściwie przydzielać referaty. W ten sposób wszedł do stronnictwa ówczesny dyrektor Biura melioracyjnego przy Wydziale krajowym Andrzej Kędzior. Uwierzę nawet, że dlatego wszedł hr. Lasocki, jako doświadczony urzędnik starościński. Uwierzę nawet, że Stapiński potrzebował tak wybitnego człowieka, jak Dr. Franciszek Stefczyk, nie dziwiłem się, że przyłączył do nas bratanek sławnego Lewakowskiego Karola, późniejszy poseł sejmowy a obecnie senator Zygmunt Lewakowski, ale dla jakiego „referatu“ potrzebował Stapiński jakiegoś hrabiego Mieroszewskiego, czy hr. Mikołaja Reya? Złośliwi twierdzili, że wiele cudów działo się pod hasłem „wielcy i mali rolnicy łączcie się“, chociaż w Towarzystwie Kółek rolniczych i w Towarzystwie rolniczym chłopów tu i ówdzie dopuszczano tylko na okrasę. Długosz wnet poczuł, gdzie Stapińskiego boli. Wiedział, że potrzebuje pieniędzy, na potrzeby bieżące swoje i stronnictwa. Nie wiem, czy to z własnej inicjatywy, czy z cudzej namowy zaczął pomagać Stapińskiemu. W ten sposób „pomógł“ mu kupić dom w Kra-



kwie, a potem zaofiarował mu willę w Dębnikach. Słowem, związał go mocno ze sobą. To, że Stapińskiemu dał Władysław Leopold Jaworski 80.000 koron od konserwatystów, na założenie pisma, to niektórzy w tem dopatrywali się tylko niewinnej pomocy, wynikłej z politycznych wyborczych paktów. Inna rzecz, że o tych groszach przeróżnych wiedziało się dopiero po rozłamie w stronnictwie ludowym w r. 1913, bo pieniędzy, czy dawanych przez Jonasza, czy przez Długosza, czy przez konserwatystów, Stapiński przez książki nie przeprowadzał i te pozycje chociaż byłem skarbnikiem stronnictwa, były poza możliwością mojego spotykania się z niemi. Sojusz Stapińskiego z konserwatystami był nieszczęściem i dla stronnictwa i dla Stapińskiego samego. Stapiński temi warunkami, jakie mu stworzył Długosz zdemoralizował się, a przytem nawet godność wiceprezesa Koła Polskiego w Wiedniu, w której to roli on poniekąd trząś parlamentem, przewróciła mu w głowie. Gdy minister Biliński w czasie tak zw. „cerkle“ przedstawiał cesarzowi polityków, Stapińskiego przedstawił w słowach „Obman des Polenklubs Abgeordneter Stapiński, Stütze der österreich. ungarischen Monarchie“. Nic dziwnego, że przed taką podporą tronu i monarchji gięły się karki „żurnalistów“ wiedeńskich i całego wiedeńskiego świata politycznego. Stapiński nabrał przekonania, że można politykę prowadzić tak, że i chłopom będzie lepiej i on będzie syty, że świat się nie zapadnie, jeśli zje w Wiedniu obiad u Sachera z Długoszem, a nawet przyjmie zaproszenie do ministra austriackich spraw zagranicznych Aehrentala. Tak go też chłopci rozumieli i za te rzeczy rozgrzeszali, a nawet bardzo ciekawie zakonkludował o tej sprawie chłopski poseł Styła, wyrażając się o Stapińskim rozgrzeszając słowami: „brał, bo mu dawali“.

\* \* \*

W tym okresie czasu rozpoczęła się tak zwana „realna polityka“ wydobywania koncesji na stowarzyszenia i banki. Obok banku parcelacyjnego prosperującego ze zmiennem szczęściem od kilku lat, uzyskał Stapiński koncesję na założenie „Ludowego Towarzystwa Ubezpieczeń „Wisła“, które początkowo zaczęło życie pod bokiem „Florjanki“ w Krakowie, później jednak przeniesione zostało na prośby stańczyków do Lwowa. Uzyskał rów-

niez koncesję na założenie „Banku ludowego“ we Lwowie, jednak nie czując się na siłach sam, ani nie mogąc tej koncesji zrealizować w myśl własnych pragnień, sprzedał ją pewnemu konsorcjum podobno za 150.000 koron. O instytucjach tych, które rozmaity los spotkał pomówię obszerniej, albowiem te instytucje zatruwały działalność polityczną stronnictwa. Wrogowie ludowców nie zawsze słusznie i najczęściej tendencyjnie strzępili sobie języki na Stapińskim, obdzierając go ze czci i wiary. Byłem członkiem Banku parcelacyjnego ze skromnymi udziałami. Należałem przez cały czas do tej instytucji, uczestniczyłem we wszystkich walnych zgromadzeniach tegoż banku i byłem informowany jak sprawa z tym Bankiem wyglądała. Dyrektorem Banku parcelacyjnego był Dr. Jan Deskur, którego też może niesłusznie obdarto ze czci i wiary i zwano „Drzyskórem“. Bank i jego dykcja mieli tą wadę, że nie umieli mądrze interesu prowadzić. Nie mając należytych zasobów pieniężnych, porwali się na wielkie interesa. Wszecpolacy zaczęli odbierać władzę konserwatystom w Galicji, organizowali się znakomicie, a ich ludzie systematycznie i planowo gotowali się do swej roli w przyszłości. I jak niegdyś żywioły im wrogie położyły im na łopatki tak zasłużonego człowieka wobec kraju i przemysłu, jakim był Stanisław Szczepanowski, którego tylko świetna wymowa adwokata Dr. Greka na rozprawie sądowej uwolniła od kryminału, tak czując w Stapińskim człowieka, z którym trzeba będzie im jako spadkobiercom konserwatystów kiedyś w przyszłości śmiertelny bój prowadzić o władzę, zwąchawszy odpowiednią chwilę do zadania Stapińskiemu skrytobójczego ciosu, rozpoczęli na niego piekielny atak. Spostrzegłszy się, że Deskur zaśmiały i prawie lekkomyślny w odwadze, choć uczciwy, korzystając z tego zarazem, że inny dyrektor tego Banku z ramienia Stapińskiego i ówczesny poseł parlamentarny Michał Olszewski, człowiek „kańciastego łba“, jak się Stapiński o nim wyrażał i mądry, zaczął gospodarzyć niewłaściwie i sławną parcelacją Kanny niebardzo sympatycznie się osławiał, wiedzieli wszecpolacy, że tym Bankiem parcelacyjnym w oczach ludu mogą dokładnie utracić Stapińskiego. Atak był wściekły, obliczony z precyzyjną dokładnością, bezwzględny w zamiarach morderczych. Stapiński niepotrzebnie brał na siebie całą odpowiedzialność, jaka padła na Bank. Niejednokrotnie w życiu przeklinał tą chwilę, kiedy mu



myśl stworzenia Banku parcelacyjnego powstała w głowie. Wielokrotnie żaląc się do mnie na ten krok, najlepszy w poczęciu, a najgorszy w skutkach, określał, że „wolałby był połamać ręce i nogi, nim do tego założenia Banku doprowadził“. Konserwatyści zacierali ręce, że mają „chama w saku“ i radziby go byli widzieć jako ubezwładnionego im szkodnika za kratkami więzienia, wszechpolacy natomiast dzieląc z nimi role, chcieli zniszczyć Bank, a rujnując przez to wiele egzystencji chłopskich, chcieli pokazać ludowi: „Oto wasz trybun, który was do katastrofy i nędzy doprowadził!“ Stapiński znalazł się w bardzo ciężkim położeniu, a wiedząc, że jego najbliżsi przyjaciele straty ewentualne poniesione w Banku dla jego osoby łatwo przeboleją, myślał już nie o tem czy sam dostanie się do kozy z Deskurem i Olszewskim, ale myślał, jak uratować grosz biednych udziałowców, którzy niejednokrotnie swój ciężko w Ameryce zapracowany pieniądz powierzyli jego nazwisku. Zjawił się mu wtedy wybawca w osobie ministra skarbu austriackiego Leon Biliński, który z funduszków rządowych wystarawszy się o kredyt 2 miliony koron, pokrzyżował tym faktem dobiecie Stapińskiego w opinii publicznej. Przyszło wprawdzie do procesu przeciwko Deskurowi, sąd go jednak uwolnił, Michała Olszewskiego zupełnie nie pociągano do odpowiedzialności, zaś Stapiński z otrzymaniem od Bilińskiego 2-ma milionami, przystąpił do sarnacji Banku parcelacyjnego. Głównym likwidatorem Banku Parcelacyjnego był adwokat łwowski Dr. Stanisław Grzesik.

Stapiński w Banku parcelacyjnym osobiście rąk nie maczał. Co najwyżej za dobrze płatne anonse Banku, pomieszczane w „Przyjacielu Ludu“ prawie na 4 stronicach utrzymywał wydawnictwo. W tym czasie wogóle nie dałby się być nakłonić do żadnych niegodziwości, czy nieprawidłowości. Podstępnie go tylko omotano i chciano go unieszkodliwić. Biliński rzeczywiście wyratował Stapińskiego z towarzyszami i Bank, jako taki, od nieobliczalnych strat. Stapiński czuł się wobec niego mocno zobowiązanym, a nawet był czas, że pytał się nas w najbliższem otoczeniu, co byśmy na to mówili, gdyby Biliński zgłosił swój akces do Polskiego Stronnictwa Ludowego i niedużo brakowało, żeby się to było stało.

Stapiński idąc w swych planach konsekwentnie, założył „Ludowe Towarzystwo Ubezpieczeń „Wisła“. Chciał stworzyć chłop-

ską instytucję ubezpieczeniową i dla konkurencji „Florjance“, która była przytułkiem skrajnej „konserwy“, ale instytucję chłopską dla chłopów, w którejby chłopci znaleźli ubezpieczenie swoich domów. Wyszukawszy Władysława Długosza, oraz przy pomocy Zygmunta Lewakowskiego, dzisiejszego senatora-endecka, bratanka ś. p. Karola Lewakowskiego, dokonano organizacji tej instytucji. Potrzebnych pieniędzy oraz kaucji ubezpieczeniowych dostarczyli Długosz i Lewakowski. Wybrano Dyрекcję i Radę Nadzorczą, pierwszym dyrektorem był Szukiewicz, drugim Stanisław Bednarski, późniejszy pierwszy dyrektor aż do likwidacji tej instytucji. Pierwszym prezesem Rady Nadzorczej był Władysław Długosz, jego zastępcą poseł Andrzej Średniawski, który po ustąpieniu Długosza zawiadował instytucją również aż do jej likwidacji. Na zgromadzeniu delegatów, między innymi i mnie powołano do Rady Nadzorczej tej instytucji i od samego początku jej istnienia należałem do Rady Nadzorczej również aż do czasu jej likwidacji. Instytucja ta stworzona zabiegami przede wszystkim Stapińskiego i przy szczęśliwym doborze ludzi, tak w łonie Dyrekcji, jak i Rady Nadzorczej, rozwinęła się w wspaniałą Instytucję i chociaż lata wojny szczybiły dość mocno postęp pracy i wyniki tejże, „Wisła“ stała się chlubą ludowców, a rozwojem jej cieszyliśmy się wszyscy niepomierne. Na krótki czas przed zaprowadzeniem „powszechnego ubezpieczenia“ na modłę, jaka obowiązywała w byłem Królestwie i w Poznańskim, „Wisła“ nabyła własny dom po „Towarzystwie emigracyjnym“ w Krakowie przy ul. Radziwiłłowskiej L. 23. Dom ten wielomiljonowej wartości jest własnością Towarzystwa. Podczas wojny „Wisła“ przechodziła rozmaite koleje, bo nawet musiała emigrować ze Lwowa, częścią do Wiednia, później przeniosła się do Nowego Sącza i tu dłuższy czas zawsze składnie i z pożytkiem dla ludu pracowała. Należałem do Komisji kontrolującej z ramienia Rady Nadzorczej i prócz pochwał i serdecznego uznania dla pracowników, nie znachodziliśmy żadnych zarzutów. „Wisła“ spełniała nawet pewne piękne obowiązki humanitarne i darzyła stypendjami młodych obrońców Lwowa. Szkoda wielka, że instytucja ta przeszła na etat samorządowy i przestała być instytucją ściśle ludową.

Trzecią instytucją, którą dla chłopów chciał stworzyć Stapiński, był Bank ludowy, który jednak częścią skutkiem niezrozu-



mienia wartości takiej instytucji, częścią z niemożności zebrania funduszków takich w gronie najbliższem nie doszedł do skutku, a Stapiński, jak już wspomniałem, koncesję na ów Bank wydobytą od rządu austriackiego sprzedał wiedeńskiemu Länderbankowi. Z pieniędzy tych mnie, jako skarbnikowi partji nie przedłożył żadnych rachunków i nie dał mi możności zatkania ust tym wszystkim, którzy mu na dobrej opinji szkodzili.

Z historii tych trzech Instytucji, jakie zapoczątkował Stapiński widać, że nie wszystko udało mu się tak, jak chciał, niejednokrotnie poparzył się i na ludziach, niewielu znachodził, którzyby mu pomocną podali dłoń i wogóle do finansowych pomysłów nie miał szczęścia a o ile w przyszłości przyszedł do finansowego powodzenia, to głowom i rękom obcym to zawdzięcza.

\* \* \*

Przypominam sobie jedno z posiedzeń Rady Naczelnej mianowicie we Lwowie w sali „Gwiazdy“ przy ul. Franciszkańskiej, które się odbyło w jakiś krótki czas po nominacji Długosza ministrem. Bohaterami tego posiedzenia byli: Stapiński, Długosz i Wincenty Witos. Nie mogliśmy się dość nazachwycać logicznością przemówienia Witosy. Słuchano go z nadzwyczajnem zainteresowaniem i budził wtedy wielki podziw, a Stapiński cieszył się, że w nim odkrył swego następcę. Inna rzecz, że w innych warunkach wyobrażał go sobie następcą. Stapiński w odnalezieniu Witosy powetował sobie utratę Dąbskiego i nieraz mówił do nas: „Zobaczycie, co za przywódca będzie z Witosy“. W r. 1911 podczas wyborów do parlamentu austriackiego skrojono pakt z konserwatystami. Prowadził go Bobrzyński i Władysław Leopold Jaworski oraz Stapiński i Długosz. Oni tj. Długosz i Stapiński informowali członków Komitetu wyborczego do którego również należałem o tem zbrataniu się. Do czego ono doprowadzało, doświadczyłem też na sobie. Jako kandydat P. S. L. byłem już mocno zaangażowany w walce wyborczej, a tu na rozkaz konserwatystów wezwał mnie Stapiński do wycofania kandydatury, a uzasadniał tem, że z paktu z konserwatystami musi iść na żywieckie konserwatysta Cezary Haller. Uzasadniał swoje wezwanie i tem, że w razie mego nieposłuszeństwa, Haller pójdzie na okręg Myślenicki i tem gotów położyć Andrzeja

Średniawskiego. Przez wzgląd na karność w stronnictwie, której zawsze hołdowałem i przez wzgląd na osobę Średniawskiego, posłuchałem wezwania Stapińskiego. Wybór Hallera tak *par force* był nietatwy. Niektóre komisje wyborcze tak po austriacku pracowały na galicyjski sposób, że obdzierając z głosów kandydata Rusina i Fijaka, o mało nie wywaliły „murowanego mandatu“... ludowca Rusina. Ostatecznie ogłoszono wybór Hallera i Rusina a Maciej Fijak spoczął na laurach w Pietrzykowicach.

Konszachy Stapińskiego z konserwatystami mają początek po wyborach do parlamentu austriackiego w r. 1907. Na krzesła namiestnikowskiem siedział podówczas magnat Hr. Andrzej Potocki. Przed wyborami wydał on wspólnie z klerem Ludowemu Stronnictwu śmiertelną walkę. Kler je stale nienawidził i bił w nie niezawsze godnemi stanu kapłańskiego pociskami. W każdym okręgu wyborczym starostowie pracowali jak mogli nad tępieniem ludowców, a hasanie ich nie miało granic. Na taką orgję polityczną wobec P. S. L. mógł sobie pozwolić tylko taki wpływowy człowiek u rządu austriackiego, jak Potocki, człowiek, którego bardzo proszono o to, aby zechciał i raczył przyjąć urząd namiestnika Galicji i głośno mówiono o tem, że stary cesarz Franciszek Józef I, któremu parokrotnie Potocki rzucał tym urzędem, dawał mu szczególne przyzwolenia i pełnomocnictwa, które przyprawiły go o śmierć z ręki Siczyńskiego. Potocki działał bezwzględnie, z zimnym cynizmem i chęcią postawienia na swoim. Ambony wszystkie trzeszczały, księża dostawali istnego paroksyzmu szału w tępieniu ruchu ludowego. I to piekło tortur, jakie każdy ludowiec biorący udział w polityce ludowej przechodził, nie daje się opisać. Księża głosili wojnę „w obronie religji“, wkładano ludziom w usta słowa, których nikt z ludowców nie wypowiadał przeciw wierze katolickiej, np. że poseł Kubik wyraził się: „dopóty nie będzie w Polsce lepiej, dopóki drogi do kościoła nie zarosną trawą“ i wiele, wiele innych oszczerstw. Faktycznie, kto to piekło wytrzymał, ten zdał egzamin na bojownika ludowego. Stapiński ze swoją armją wygrał wybory i to wspaniale. Siedmnastu posłów wyprowadzili ludowcy przeciw Kołu polskiemu.

Pamiętam z opowiadania Stapińskiego, że gdy tenże bezpośrednio po wyborach i ogłoszeniu ich wyniku, zjawił się na posłuchanie u hrabiego-namiestnika, tenże ozdobiony orderem



złotego runa powstał z miejsca i przywitał go słowami: „gratuluję, Panie pośle, przyznam się, że nie doceniałem Pańskiej siły“. W krótki czas potem zaczęło się wzajemne zezwanie polityczne. Stapiński wprawdzie bał się losu Stojalowskiego, ale w końcu porozumienia ze stańczykami nie odrzucił i umiał tak rzecz w stronnictwie przedstawić, że gdy do czegoś podobnego przyszło, stronnictwo na ten pakt dało swoje przyzwolenie. Od tego czasu Stapiński wszedł w stosunki z „panami“ i zaczął swój polityczny upadek. Instykt chłopski w polityce stronnictwa ludowego przyzwalał na rozmaite kompromisy, tylko jednego kompromisu nie dopuścił do urzeczywistnienia — z endekami. I przewiduję, że jak długo, jakiegokolwiek poważne stronnictwo chłopskie będzie prowadziło żywot w Polsce, z endekami nigdy się nie połączy o ile niechce, by się w strzępy nie rozleciało. Do nich mogą przylgnąć rozmaite chłopskie ciury polityczne i macherzy w guście piastowców, ale chłopci politycznie uświadomieni do czegoś podobnego nigdy nie dopuszczają.

\* \* \*

Stapiński w swoim życiu politycznym nigdy nie rozumiał politycznej roboty podziemnej, jaką na terenie Królestwa Polskiego prowadzili wszechpolacy, zaraniarze a szczególnie socjaliści. Mając stosunki rodzinne w Warszawie i Królestwie przyjeżdżałem w ostatnich 20-tu latach do Warszawy dość często i gdy przywoziłem Stapińskiemu różne wiadomości z tamtej strony kordonu, on się w nich zupełnie nie orjentował i nie znachodził dla nich należytego zrozumienia. W parę dni po zamachu na gubernatora warszawskiego Skałłona, dokonanego przez Dobrodzicką, bawiłem w Warszawie, a mając bliżutko z ul. Szopena na miejsce zamachu, sam oglądałem z poczuciem żalu to miejsce, w którym bomba Dobrodzickiej nie dosięgła tego rosyjskiego łotra. Dobrodzicka, jak wiadomo, umknęła do Wiednia i tam ją aresztowano i chciano wydać rosyjskim stupajkom.

Sprawa Dobrodzickiej narobiła wielkiej wrzawy w społeczeństwie polskim, gdyż w razie wydania jej przez rząd austriacki, groziła jej szubienica. Na sprawę tę zwróciłem uwagę Stapińskiemu, a on jako ówczesny wiceprezes Koła Polskiego,

zajął się losem tej patrijotki. Wiem, że dużo tej sprawie poświęcił energii i w pewnej rozmowie ze mną powiedział: „wiesz, te polaczki, z Koła Polskiego po prawej stronie, toby wnet byliby wydali Dobrodzicką moskalom, bo ją uważają za zwykłą zbrodniarkę“. Dzięki zabiegom i Stapińskiego a przede wszystkim Daszyńskiego i Liebermanna, nie wydano Dobrodzickiej i przeznaczono ją do osądzenia sądowi przysięgłych w Wadowicach. Dobrodzicką bronił późniejszy prezes Koła Polskiego Dr. Stanisław Łazarski, a ława przysięgłych pod przewodnictwem notariusza Gorączki z Oświęcima od oskarżenia ją jednogłośnie uwolniła. Taki wyrok wywołał w społeczeństwie naszym radość nie do opisania. Chciano jej urządzić owację i hołdy, ale ona jako skromna polka wyprosiła się od takich banalnych szopek. Ilekroć Stapińskiemu opowiadałem o ruchu rewolucyjnym w Królestwie, szczególnie w r. 1905, to jego to nie interesowało wiele. Brakło mu odpowiedniej kultury politycznej dla rozumienia takiej roboty. Na terenie Królestwa Polskiego działała także organizacja polityczna zbliżona do naszego stronnictwa ludowego, grupująca się koło tak zwanego „Zarania“, a redaktor pisma Malinowski coś ze 2 czy 3 razy uczestniczył w naszych politycznych zjazdach. Z tej organizacji wyszli późniejsi „Wyzwoleńcy“.

Kiedy w r. 1905 opowiadałem Stapińskiemu po podróży mojej z Paryża, jakie kolosalne wrażenie zrobiła na mnie galeria obrazów historii francuskiej w Wersalu i kiedy mówiłem mu o tem, jak się tam łatwo uczy każdy pogładowo historii kraju ojczystego od czasów zamierzchłych galijskich aż po dzień zamordowania prezydenta republiki Carnota, to Stapiński też nie okazywał zrozumienia tego rodzaju środków pedagogicznych w nauczaniu historii kraju. Człowiek ten do nauki i sztuki nie miał żadnego pociągu. Nie wiem, czy w życiu dużo razy był w teatrze i na wystawie obrazów, czy w Muzeum narodowym, 20 lat przebywał w Krakowie, a z pewnością nie znał ani Muzeum Czartoryskich, ani Domu Matejki, ani nie oglądał z bliska i właściwym zrozumieniem narodowym Wawelu. O ile wiem, to jeszcze muzyka go trochę interesowała i lubiał operę. Całą jego lekturą było przeczytywanie gazet, ale o nowoczesnej literaturze polskiej, nie mówiąc już o zagranicznej, zielonego nie miał pojęcia, a przynajmniej wiadomości z tej dziedziny wiedzy nigdy nie zdradzał. Był sprytnym agitatorom posługującym się argu-



mentami przemawiającymi do chłopów, chłopów ujmował nierzadko wycelowaniem go i uściskaniem, ale do nazwy polityka w całym tego słowa znaczeniu, nie mógł mieć pretensji. W dziełach politycznych nigdy się nie zatapiał i o ile mnie się zdaje, to raz podczas wojny, wolny od zajęć redaktorskich, szperał w dziele Kalinki, ale nie miał do tego wielkiej cierpliwości. Erudycja polityczna Stapińskiego była bardzo mizerna. Ocierając się o ludzi politycznych coś z nich przejmował, ale się nie doskonalił na polityka w wyższym stylu.

\* \* \*

Polskie Stronnictwo Ludowe od chwili założenia organizacji politycznej głosiło hasło porozumienia się Polaków z Rusinami na terenie Małopolski i zawsze mocno przeciwstawiało się szowinistycznej polityce endeków w tym kierunku. Taktyka taka wyływała z życia się chłopów polskiego z chłopem ruskim. Stronnictwo rozumiało tę sytuację, że nędza gniecie tak polskiego, jak i ruskiego chłopów, że obaj powinni się bronić przeciwko panom i wspólnym wyzyskiwaczom, że tylko w wspólnej obronie, wspólna pomyślność, że Galicja wschodnia nie może być ani polską, ani ruską, tylko musi być i polską i ruską. Ilekroć w życiu mówiło się ze Stapińskim o Rusinach, on nigdy życzliwości chłopu ruskiemu nie odmawiał, a gdy była na porządku dziennym sprawa Uniwersytetu ukraińskiego we Lwowie, a wszechpolacy w swoim szowinizmie antyruskim chcieli Rusinom dać uniwersytet... w Buczaczu, a najwyżej w Stanisławowie, Stapiński gniewał się na to stanowisko wszechpolaków i Rusinom przyznawał dużo racji w ich postulatach, choć energicznie zwalczał wszystkie hajdamackie borby na Uniwersytecie lwowskim. Mam wrażenie, że Polskie Stronnictwo Ludowe pomieszczenia Uniwersytetu ruskiego we Lwowie byłoby nie zwalczało, a o ile mnie pamięć nie zawodzi, to posłowie P. S. L. stwierdzali, że Praga ma Uniwersytet niemiecki obok czeskiego, a zatem i Lwów obok Uniwersytetu polskiego Jana Kazimierza może mieć i uniwersytet ruski i przez to swego polskiego charakteru nie zatraci. Miałem sposobność czy to w kuloarach Sejmu, czy w kuloarach parlamentu austriackiego w Wiedniu nieraz zauważyć, że przewodnicy PSL. zawsze z okazywaniem wzajemnych sym-

patji spotykali się, czy to z Oleśnickim, czy Kościem Lewickim i że Ukraińcy pozdrawiali ich polskimi słowami, gdy oni im nawzajem mówili „moje pocztenje“.

Tradycja zgodnego pożycia z Rusinami, pięknie wprowadzona do programu Polskiego Stronnictwa Ludowego nie została się, albowiem stronnictwo posła Witosa dzięki napływowi do jego grona byłych endeków Brodackich, Erdmanów, Dębskich stale i wytrwale prowadzi taktykę podjudzania metodami zapożyczonymi od endecji a nawet endecję w tej niepoczytalnej polityce wyręcza.

\* \* \*

Kongres rzeszowski w r. 1913 i sąd nad Stapińskim, jaki się odbył z tytułu afery Długosz-Stapiński, był wypadkiem w stronnictwie deprymującym. Komplet delegatów był nadzwyczajny. Prócz tego przybyło wielu korespondentów pism, napięcie przechodziło wszelkie granice wytrzymałości nerwów. Stapiński spowiadał się i kajał jak dziecko. Nagadał wiele niepotrzebnych i niepolitycznych rzeczy, a minister Długosz zdał wtedy egzamin i pokazał, jaki człowiek nie powinien być ministrem. Z tego wypadło coś tak obrzydliwego, że tylko wrogowie ludu mieli pierwszorzędnny spektakel. Po licznych przemowach najwybitniejszych przywódców, po przemówieniu posłów Kędziora, Bojki, Witosa i innych, kiedy Stapińskiemu większość zgromadzenia uchwaliła rozgrzeszenie i zaufanie, kilkunastu posłów Polskiego Stronnictwa Ludowego opuściło salę kongresu. Serca nasze przepełniał głęboki ból, że do czegoś podobnego przyszło, że skompromitowano takich wybitnych przewodników ludowych i że znów jeszcze do większej przyjdzie bratobójczej walki.

Na prawdę, nie mogę sobie zdać i dzisiaj sprawy z tego, dlaczego większa część rzeszowskiego Kongresu poszła wtedy za Stapińskim. Dr. Bernadzikowski, który może najmocniej swoim pójściem za Stapińskim umocnił jego pozycję, zapytany przezemnie, jak tłumaczy to swoje postąpienie odpowiedział mi szczerze: „Nie umiem tego uzasadnić, ale telepatycznie czuję, żeśmy powinni pójść za Stapińskim i dobrze zrobiliśmy, gdyśmy o tem tak zdecydowali“. Jeszcze dziś widzę ten smutny korowód posłów, ich przygnębionych twarzy i schylone w dół głowy, gdy nas odchodzili. Kto nie był gruboskórny, temu w duszy



dużo zostało goryczy i daty 13-go grudnia 1913 r., dnia tych dwóch fatalnych 13-tek, nie zapomina się nigdy...

Stapiński w tych czasach zaczynał swe kroki polityczne uzasadniać, że bez skrupułów „można się łączyć nawet z „djabłem“, można łamać wszelkie pakti w razie potrzeby, nie do trzymywać żadnych zobowiązań i przyrzeczeń, o ile tylko to wychodzi na pożytek polityki chłopskiej“. Rządy sprawowano wtedy pod znakiem „trzech B“ (Badeni Stanisław, Bobrzyński Michał, Biliński Leon). Ktoś dowcipny puścił raz kawał, że pilzneńskie piwo ma 2 bb, a polityka trzy b. O ile moje wiadomości sięgają, to zobowiązania, jakie brali na siebie konserwatyści, to po dżentelmeńsku, choć niezawsze ochotnie je wypełniali, natomiast Stapiński każdego czasu bez skrupułów był gotowy się im sprzeniewierzyć. Na jego usprawiedliwienie zaznaczam, że nie we własnym interesie. Jaki cel w swojej taktyce wobec Stapińskiego mieli konserwatyści i jaki jej był plan szczegółowy w tym kierunku, tego nie wiem, boć przecież ich leaderzy nie na to nosili głowy na karku, ażeby się tak łatwo ze swoimi dokładniejszymi planami zdradzać. Najmądrzejszy arystokrata polski, ówczesny marszałek kraju Hr. Stanisław Badeni ze Stapińskim w żadne polityczne pogawędki się nie zabawiał. Stapiński miał przed nim respekt, który zdradzał tem, że nigdy nie miał odwagi zbyt blisko podchodzić do Stanisława Badeniego Bobrzyński imponował mu wielką polityczną erudycją i żelazną wolą i ręką, a pewnego razu, gdy ze Stapińskim szliśmy parę kroków za Bobrzyńskim, zwrócił mi z rewerencją uwagę na niego takim powiedzeniem: „patrz, jaką ten człowiek ma budowę czaszki, mieści ona mądry mózg“...

Biliński długi czas był alfą i omegą Stapińskiego. Kiedy była sprawa budowy kanału w Galicji na porządku dziennym i gdy tak znakomity znawca tej rzeczy, jak poseł Kędzior w roku 1908 za nią gorąco orędowną, gdy wszechpolacy bombardowali w Bilińskiego, aby rząd austriacki przystąpił jak najrychlej do budowy kanałów wodnych w Galicji, to Stapiński pod wpływem Bilińskiego tej akcji nie popierał i w jednym z listów do mnie pisanych wyrażał się następująco: „kraj domaga się rychłego przystąpienia państwa do budowy kanałów. Widziałem się 2 dni temu z Bilińskim, który mi powiedział, że wojna Rosji z Austrią wisi na włosku i Austrija będzie prędzej musiała budować ar-

maty, aniżeli kanały. A wszechpolacy chcieliby za to zjeść Bilińskiego na śniadanie“. Czy rząd austriacki i kraj nasz wyszedł lepiej na tej taktyce Bilińskiego, to nie moją rzeczą jest osądzać.

Po rozłamie w Stronnictwie Ludowem dokonaniem aferą Długosz—Stapiński, przyszło do utworzenia 2 partji ludowych. Tak wspaniałe drzewo, rozszczypało się i okazało w sobie dużo pruchna. Powstało wielkie zamieszanie, niczem po frondzie Dąbskiego. Wprawdzie towarzystwo dużo działaczy stron obydwoh spotykało się razem, dużo było osobistych węzłów sympatji, a przecież przykrość to wszystkim sprawiało dużą. Na terenie np. Towarzystwa „Wisły“ postępowano bardzo taktownie, jedna strona drugiej nie zaczepiała politycznie i ściśle trzymano się zasady, że Towarzystwo ubezpieczeń jest instytucją apolityczną, ale na zgromadzeniach, w pismach, roznamiętnienie polityczne i walka przybierały coraz ostrzejsze kontury. Wybory rozpisane w r. 1913 do Sejmu galicyjskiego naciągały ze sobą bardzo czarne chmury walki wyborczej. Wybuch wojny serbsko-austriackiej rozbił w puch wszystko. Akcji wyborczej nie dokończono i rozgorzała wojna położyła kres wypadkom wyborczym. Przypominam sobie dobrze, gdy ze Stapińskim (kandydującym w Krośnieńskim) zjechaliśmy się u Andrzeja Krukierka w Krośnie, ściśle biorąc na pół godziny przed nadejściem telegramów o wybuchu wojny w ową pamiętną sobotę, opowiadał nam Stapiński, że wojny nie będzie, gdyż we czwartek rozmawiał w Wiedniu z Bilińskim, który go zapewniał, że „może grać na giełdzie na zwykłą, gdyż do wojny nie przyjdzie“. Jak musiała być dobrze informowana dyplomacja austriacka z hr. Bertholdem na czele i jak był dobrze informowany taki pierwszorzędnny mąż stanu, b. minister skarbu, b. prezes Koła Polskiego, były wspólny minister austro-węgierski Leon Biliński, a więc politycy, którzy kierowali wówczas nawą państwową w Austrii i polityką zagraniczną tego konającego mocarstwa? Na drugi dzień ze Stapińskim wyjechaliśmy z Krosna, on do Krakowa, ja ze względu na to, że sprawowałem wówczas w gminie Zabłociu urząd wójta i musiałem się sposobić do kierowania sprawami mobilizacyjnymi w gminie, mającej stację węzłową kolei Żywiec.

\* \* \*



Kiedy nadszedł czas na tworzenie N. K. N. Stapiński nie wyznawał się w tem, jakie ma zająć stanowisko i w swych myślach przeskakiwał z orientacji państw centralnych w orientację koalicji. Tu mu brakło wyższej kultury politycznej i wiedzy, a biorąc udział w tych pracach przykładał do tego rękę mdłą i nie przewidywał, co z tego wyniknie. Z zawieszeniem mu „Przyjaciela Ludu“ przez rząd austriacki, Stapiński znalazł się w bardzo kłopotliwym położeniu. Miał tylko pretensję w kwocie 100.000 koron z tytułu sprzedaży Marjanowi Dąbrowskiemu pisma, „Ilustrowany Kurjer Codzienny“. Miał tam może coś trochę pieniędzy nadeszłych na prenumeratę „Przyjaciela Ludu“, ale o ile wiem, to fundusze jego były niepokazne, bo po rozbiciu się z Długoszem pomimo obwołania go człowiekiem zamożnym, zapewniam, że Stapiński naprawdę majątku nie posiadał. Ciekawa rzecz, że przez cały czas wojny niewielu ze zwolenników Stapińskiego potroszczyło się o to, z czego ten przywódca ludowy żyje i czy przypadkowo nie przymiera głodem. Przeszedł czas, że Stapiński musiał się czepić jakiego zajęcia tembardziej, że zawsze się mocno frasował o swe zabezpieczenie na starość i starości lękał się z obawy przed powracającą się mu chorobą oczu. Nie mając możliwości innego zabezpieczenia się, rzucił się na spekulacje terenami naftowymi w krośnieńskiem. Jedną z miejscowości w robieniu tego rodzaju interesów był Haczów. Ustanowił pełnomocnika w osobie p. Krukierka, kontrakta zaś robiono przeważnie w kancelarji adwokata Dra Berkowicza w Krośnie. Z kontraktów tych po dzień dzisiejszy ma Stapiński sporo kłopotów i procesów z miejscowymi właścicielami, a piastowcy sprawy te wygrywali przeciw niemu jako atuty polityczne.

W czasie wojny nabył też realność po dawnej rafinerji w Ropie w pow. gorlickim, a odpadki z przetworów ropnych, których tu było kilkanaście wagonów, sprzedane przez Stapińskiego do Saksonji, dały mu tyle, że mógł za nie kupić majątek ziemski Klimkówkę w powiecie grybowskiem. W r. 1916 założył wspólnie: Andrzej Krukierka, Stapiński, Franciszek Olas, Marjan Dąbrowski skromniutką kopalnię nafty w Łekach pod Krosnem. Przedsiębiorstwo szło kaprawo. Wyskoczył z niego pierwszy Dąbrowski, potem Olas. Zostali Krukierka ze Stapińskim, a gdy już Stapiński dorobił się na smarach i świeczkach,

którymi handlował, objął całe przedsiębiorstwo na siebie. Stapiński w czasach tych utrzymywał także jakieś stosunki handlowe z firmą Gartenberg i Schroyer w Jasle. Przypuszczam, że firma ta potrzebowała takiego Stapińskiego i Stapiński zapewne wtedy dał się ująć dla celów tej firmy, nie bez własnej korzyści. Mogło to niebyć bardzo licujące z godnością posła i przywódcy ludowego, ale rola „szabesgoja“ nie była dla Stapińskiego znów tak straszna. Stapiński rozgrzeszył swoje sumienie i robił pieniądze. Daleki jestem od posądzeń, więc swoje przypuszczenia wolę zamilczeć. Być może, że późniejszy minister robót publicznych w Austrii Homan, albo radca ministerjalny Horszowski, których znajomością Stapiński zawsze się przechwalał, z sympatji dla niego pomagali mu w nabywaniu zasekwestrowanej Francuzom kopalni nafty w Lipinkach oraz w uzyskiwaniu pozwoleń na wywóz smarów ropnych za granicę. Faktem jest tylko, że w tych czasach Stapiński dużego nabierał apetytu i stawał się na grosz bardzo zachłannym a równocześnie udawał męczennika, prześladowanego przez austriacki rząd. Dziwna rzecz, że w miarę robienia majątku, stawał się sknerą i skąpcem.

Przy jednym z poborów wojskowych Stapińskiego o mało nie wzięto do wojska. Wypadek zdarzył, że lekarz poborowy, a kolega parlamentarny, Czech z pochodzenia, którego nazwiska sobie nie spamiętałem, przywitawszy się z nim wdał się ze Stapińskim w rozmowę, a Stapiński mu zwrócił uwagę na swą chorobę oczu. Zdarzenie owe uwolniło Stapińskiego od austriackich kamaszy, bo w tym czasie tylko garbatych i kulawych nie brano. Ten ratunek Stapińskiemu się przydał, bo z pewnością, pomimo jego wieku, byliby go posłali gdzie pod Doberdo, albo do innego piekła włoskiego frontu. Kiedy i mnie los powołania wojennego nie minął i przydzielony byłem do garnizonu wojskowego w Rzeszowie, często zjeżdżaliśmy się ze Stapińskim. W nadchodzących wypadkach wojennych nie bardzo się orjentował. U schyłku żywota Austrii, ściśle na kilka tygodni przed upadkiem tego „mocarstwa“, w którym zaledwie kilku było takich wiernych poddanych jak Clam-Martinić, Stürgh, Berchtold, Czernin i inni klerikalni matoly, a państwo żyło bez ideji państwowej, Stapiński jeszcze w Austrię wierzył.



Po przewrocie politycznym w połowie grudnia 1918 roku pracowałem w redakcji „Przyjaciela Ludu“ i gdy z gabinetu Moraczewskiego usunął się Witos i Kędzior, a Stapiński w porozumieniu z Moraczewskim i Thugutem uzupełniał gabinet, byłem świadkiem tej farsy, jaka się w Krakowie w redakcji „Przyjaciela Ludu“ odbywała. Stapiński wymieniał kandydatów na ministrów w sposób iście dyletancki, jakby nie potrzebował brać żadnej odpowiedzialności za to, kogo do gabinetu Moraczewskiego wsadzi i co ten człowiek ma tam reprezentować i wprost tylko dziwnym zbiegiem okoliczności, za podszeptem moim i posła Putka, Stapiński zdobył się na to, że przeznaczył na ministra robót publicznych inżyniera Pruchnika, zgodził się na Błażeja Stolarskiego, jako ministra rolnictwa i posła Franciszka Wójcika przeznaczył na ministra bez teki. W ten sposób uniknęliśmy pewnej kompromitacji, na czas jeszcze uchylonej, albowiem Stapiński swoim nienamyśleniem się wielkiem, o mało nie przeznaczył na ministra niejakiego Józefa Budzyna z brzeskiego, który był sądownie karany za podbijanie cen, o mało się też nie ośmieszył powołaniem jeszcze i drugiego kandydata w osobie Cielucha z Berdechowa, bo jego [samo nazwisko o wcale nieministerjalnem brzmieniu, wystarczyłoby do ośmieszenia całej rady ministrów. Ministrowie swego ministerjalnego żywota zażywali niedługo. Wójcik i Stączek zaledwie 3 tygodnie, gdyż gabinet Moraczewskiego podał się do dymisji, a minister Pruchnik pozostał jeszcze kilka miesięcy dłużej w gabinecie Paderewskiego. Nie wiem, czy wielu ludzi wie o tem, że w tym czasie Stapiński również zamierzał postarać się o wyzbycie się hr. Lasockiego, protegowanego przez Wincentego Witosa, z naczelnego kierownictwa Komisji Likwidacyjnej, a osadzenia adwokata lwowskiego Dr. Michała Greka w godności namiestnika Galicji. Sam nadawałem depezę w tej sprawie do Michała Greka, który już decydował się przyjąć ten urząd, lecz przyszło do dymisji gabinetu Moraczewskiego.

\* \* \*

Kilkumiesięczny mój pobyt w redakcji „Przyjaciela Ludu“, dał mi możność przypatrywania się z dnia na dzień Stapińskiemu i jego polityce. Nie taję zupełnie, że ten czas otworzył mi oczy na właściwą istotę tego człowieka i jego politykę, o czem jak się przekonałem, nie miałem dość należytego po-

jęcia. Prawda, że w tym czasie Stapiński, którego głową kiwał już starszy syn Tadeusz, ani był podobny do Stapińskiego z przed lat. Wyznawał on z istnym jezuityzmem zasady, że cel uświęca środki, że można niedotrzymywać zobowiązań, że można kręcić, łącać i zmyślać, o ile się tylko tem osiąga swoje cele. W tym czasie przypisywano Stapińskiemu, że agitował przeciwko skarbowi państwa i przeciwko organizacji armji polskiej na odsiecz Lwowa. On tego nie robił, tylko jego syn Tadeusz, wojenny wychowanek wojskowej akademji austriackiej i b. oficer tejże, znudzony włoskiem piekłem, jakiego był przez kilka miesięcy świadkiem, w swoim niedorozwoju politycznym podczas agitacji przedwyborczej do pierwszego Sejmu w krośnieńskiem nabajał jakichś głupstw, które poszły potem na rachunek ojca. To prawda, że wtedy Tadeusz Stapiński nie chciał być polskim oficerem, a gdy nawet nim został, to równocześnie miał niezłą posadę w biurze Gartenberga w Warszawie. Potwierdził mi to i poseł Seib, że i jego dochodziły słuchy o głupich gadaniach Tadeusza przeciwko armji. Geszefciarstwo, jakiemu się oddawał podczas wojny Stapiński, zupełnie go spaczyło i niosło zarodek politycznej śmierci jego stronnictwa. O ile do tego nie przyszło, to zasługa w tem Dra Józefa Putka i Józefa Sanojcy, którzy jak mogli, ratowali stronnictwo i trzymali Stapińskiego na politycznym poziomie. Polityka zaczęła go już samego męczyć i tylko szukał sposobu, jakby się z niej wycofać i jakby tą przyjemność włożyć na cudze barki, a samemu odpocząć i zniknąć z widowni politycznej. Czuł przecież, że w życiu swem powalał się dość razy, koziołków nafikał więcej, niż niejeden cyrkowiec, zrażał do siebie coraz więcej sobie oddanych ludzi i szukał sposobu uniknięcia hańby, jaka go przecież nie minęła. Gdyby się mnie kto spytał, dlaczego Stapiński znalazł tak marny koniec, odpowiedziałbym, że zgubił go jego polityczny machiawelizm i jego taktyka zamknięta w słowach i w Austrii stosowanych: „*divide et impera*“. Stapiński miał to do siebie, że w każdym powiecie, gdzie mu się objawił jakiś wybitniejszy zwolennik, wyszukiwał mu współzawodnika na to, aby na wypadek, gdyby mu się jeden zbuntował, zaraz dostał od drugiego, przez Stapińskiego pointrygowanego w odpowiedniej chwili — „pałką w łeb“. Mógłbym przytoczyć cały szereg wypadków, że Stapiński tak postępował. Gdy Filip Włodek w Tar-



nowskiem przestał być jego biernym narzędziem, postarał się, aby go połknął mądry podówczas chłop i spryciarz pierwszej klasy Michał Olszewski, a gdy Olszewski zaczął mu się buntować i nawet porwał się na to, aby wydać kilka numerów „Gazety Chłopskiej“, to „kochanemu Michasiowi“ wyszukał Wincen- tego Witosą, ażeby go zawojował. Tylko na Witosę nie mógł znaleźć „politycznego pałkarza“, któryby mu w danej chwili „dał w łeb“, ażeby mu się w oczach zaćmiło. Kiedy Jakób Bojko przestał być jego zwolennikiem, to na niego stroił długie czasy Gabryela Dubiela z tym tylko wynikiem, że Bojce tenże nie dał rady, a „Gabrysiowi“ nie chodziło o śmierć polityczną Bojki, tylko o to, ażeby być posłem i obszyć się prędko w jaką wysoką godność. W powiecie jasielskim n. p. szachował Madeja wciąż Książkiewiczem, Bosaka Madejem i naodwrot. W powiecie gorlickim starego Aleksandra Mordawskiego szachował Długoszem czy Gajewskim, Długosza Konstantym Laskowskim, w krakowskim Wójcika Ptakiem, Ptaka Waligórą czy innym prezesem wójtów jak potrzeba było, to się Szczepańskiego utracęło Rusinem, tylko Szczepański na utracenie Rusina nie leciał, Józefa Kaźmierczaka urabiało się na to, ażeby, gdy Dr. Putek zacznie czupurną głowę zanadto podnosić, by mu tenże nogi podrywał. Takim piekielnym tańcem operował Stapiński pewien czas, aż się to urwało.

Ostatnia jego walka z Piastowcami, jego bicie w Witosę, Bardła, Rączkowskiego i Kiernika, oskarżanie ich o szereg nadużyć, było tylko grą Stapińskiego, by ci musieli z nim pogadać, a traktując z nim, zapewnić mu niepoślednie miejsce w swym obozie. Dr. Putek i Sanojca stale byli przeciwnikami zbliżenia się Stapińskiego do Piastowców, bo uważali za rzecz niemoralną traktowanie z ludźmi, którym się zarzucało brudy, popełniane ze szkodą skarbu państwowego. Mam wrażenie, że poseł Putek, człowiek bardzo sprytny i obiecujący, chcąc pokrzyżować wszelkie zbliżenia się Stapińskiego do Witosy, już przy wyborze marszałka pierwszego Sejmu sprytnie przeprowadził głosowanie stapińszczyków za Trąmpczyńskim. Głosy stapińszczyków o utraceniu Witosy wówczas zadecydowały. Chciał Stapińskiego z Witosem rozsunąć — o ileby do konszachtów jakichś między nimi przychodziło — i jak swego czasu chwalił się przedemną Stapiński, że „sprytnie wywalił Witosę z prezesury Koła Polskiego w Wie-

dniu“, tak wtedy Putek w sposób, w którym się ani Stapiński nie połapał, odsunął krzesło marszałkowskie z pod Witosy. Stapiński pomimo wykrzykiwania o swej potędze politycznej czuł, że nadchodzi ostatnia godzina jego politycznego życia. Zupełnie zaniedbał organizację sił stronnictwa, które tylko Putek z Sanojcą utrzymywali jako tako, a wielu ludzi, którzy słyszeli, jak to się w stronnictwie „Piasta“ nabywa majątki, ludzeni chęcią zysków, przenosiło się pod tamto berło. Nie powiem, żeby w stronnictwie Stapińskiego nie było ludzi, którzyby tuląc się do Putka, na konszachty mieli ochotę, i znachodzili przyjemność w politycznym geszefciarstwie. Mądry, zimny i świadomy celu Witosę rozumiał, o co Stapińskiemu idzie i udawał, że Stapińskiemu jest w stanie wszystko przebaczyć i zarzuty i kalumnie i groźby i zohydzenia i artykuły w piśmie, a Stapiński, który nie mógł się doczekać skutków swej taktyki wobec Witosy, zaczął obracać w dobre. Stapiński sprytnie chciał upozorować „rozlanie się“ stapińszczyków w obozie Piastowców, chciał to zaaranżować w ten sposób, aby nie zdemaskowano jego politycznego rupieciarstwa, a on mógł jeszcze na gruzach tegoż przechwalać się, że wszystko, co czyni, czyni w imię jedności chłopskiej, bo „panowie i księża, szczególnie obecnie zażarli się na chłopów i ciągną ze swą endecką armją na zagładę ruchu ludowego i całej demokracji“. Poseł Putek to sprytnie prześlizgiwanie się Stapińskiego do Piastowców zręcznie pokrzyżował. Zdemaskował go, jako człowieka zdradzającego własne szeregi i doraźnie skreślił mu kark, a przywódca piastowców Witos, Stapińskiego osądził jako polityka, nad którym przechodzi się do porządku dziennego. Gdy Witos nie zaspokoił żądań Stapińskiego, ten cofnął się z powrotem już w przeredzone szeregi swoich zwolenników. Bardzo możliwe, że Witos cenił grupkę Stapińskiego, chciał bowiem z nią przyciągnąć do siebie Putka i Sanojcę i ich, jako zdolnych i młodych ludzi po swojemu utemperować, bo przyciąganie Stapińskiego samego mogło go nabawić dużo politycznej niestrawności. Rozumiejąc sytuację i zdając sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka ciąży na politykach, mających uchodzić za ludzi uczciwych, poseł Putek wszedł zaraz w porozumienie wyborcze z chłopskim stronnictwem dawnego zaboru rosyjskiego „Wyzwoleniem“, bo uważał je za więcej do małopolskich ludowców zbliżone aniżeli do Piastowców, oraz że do tego przywódcem „Wy-



zwolenców" Thuguttowi, Poniatowskiemu, Rudzińskiemu można ufać w polityce. Na poczekaniu utworzony przez niego komitet wykonawczy dokładnie zdawał sobie sprawę ze swego kroku i z tego, że w interesie demokracji wszystkie stronnictwa chłopskie powinny tworzyć jeden zwarty obóz.

\* \* \*

O tem, by fronda wygrała wybory w tem szalonym zamieszaniu, jakie wyskoki Stapińskiego narobiły, nie łudziliśmy się. Chcieliśmy tylko swoim jestestwem protestować przeciwko gospodarce, niszczącej kraj i państwo i zwracać uwagę, że niecała Małopolska stoi pod rozkazami wójta z Wierzchosławic, a byłego prezydenta ministrów, który przecież powinien był coś zdziałać, ażeby klub swój od zarzutów oczyścić, a taktykę swoją polityczną skrócić lepiej na lewo. Ta partyzantka nasza polityczna nie pozostała bez skutków na przyszłość. Kto po naszej stronie pracował, nie czynił tego ani z warcholstwa, ani z karierowiczostwa, ale z najgłębszego przekonania, że najlepiej służy sprawie ludowej. Że nie byliśmy w błędzie, że mieliśmy rację, iż nie należało ustępować piastowcom, to dzisiejszy sojusz chjeńskopiastowy aż nadto dobrze wykazał. Grupa chłopów z Choczni na czele z posem Putkiem założyła tygodnik „Chłopski Sztandar“, który od 5 września 1922 r. w kilku tysiącach egzemplarzy rozchodzi się, żyjąc ofiarnością ludzi ideowych.

Stapiński już dawno marzył o wycofaniu się z życia politycznego. Jego polityka dławiała, zamienił ją więc na intratniejsze zajęcie, a przytem jego przepracowanie umysłowe wymagało odpoczynku. W ostatnich czasach było u niego widać istny uwiąd starczy, postępował nieraz, jak polityczny laik, a nie stary polityk, za bodaj co i każdemu z porządku odpłacał się zjadliwą złośliwością, obelgami i niecnymi insynuacjami.

Wynik wyborów w Małopolsce był zamknięciem się wieka trumny, w której pochowano t. zw. stapińszczyznę.

\* \* \*

Do najzaciętszych i najpotężniejszych przeciwników ruchu ludowego należało rzymsko-katolickie duchowieństwo. Walka z ruchem ludowym i jego przewodcami prowadziło ono na dwa spo-

soby. Biskupi ogłaszali kurendy do duchowieństwa, listy pasterskie i kłatwy (słynna kłatwa biskupów na Stojałowskiego!), proboszczowie zaś i wikarzy na swój sposób orędzia te wykładali. Nie tylko z ambon wyklinało się czytelników „Przyjaciela Ludu“, „Pszczółki“ i „Wieńca Polskiego“, odmawiało się im rozgrzeszeń przy spowiedzi, nie dopuszczało za kumów przy chrzcie, ale nawet po śmierci zwłoki „krnąbrnych“ grzebało się poza cmentarzem na miejscach niepoświęconych.

Przeciwdziałania tej robocie ze strony stronnictw ludowych nie było prawie żadnego. Najmocniej początkowo odpowiadał Stojałowski, wartość tych odpowiedzi osłabił jednak, albowiem „poszedł do Kanossy“. Stapiński, ilekroć przyszło mu temat ten poruszyć, czynił to bez temperamentu i w taki sposób, że robił wrażenie „dyabła, który się ubrał w ornat i na mszę świętą ogonem dzwonił“. To też jego występy księży sobie lekceważyli i jeszcze mocniej chłopów naciskali. Że Stapiński był dla nich do strawienia, dowodem tego fakt, że tacy dwaj matadorzy klerykałni, jak ks. Pastor prezes „Centrum ludowego“ i ks. Żygułiński do stronnictwa Stapińskiego przystąpili i długi czas wielki wpływ na samego Stapińskiego mieli. Mocniej uderzył w kler Bojko w książce „Dwie dusze“, a jeszcze mocniej cesał go artykułami w „Przyjacielu Ludu“ poseł Jan Kubik. Witos, mający początkowo opinię „radykała“, starć z klerem unikał, a nawet łąsił się do niego. Pamiętną przecież jest owa wizyta Witosy i Bojki, jaką po rozłamie ze Stapińskim złożyli tarnowskiemu biskupowi Wałędze, prosząc go o poparcie dla grupy Długosza. To też księży, widząc miękkość przewodców ludowych, drwili z nich i politycznie lud naciskali coraz silniej. Na innym gruncie sprawę stosunku obozu ludowego do kleru postawił poseł Dr. Putek. Trzymając się zasady, iż „Hieb ist die beste Parade“, oraz że trybuna parlamentarna jest bardzo skutecznym środkiem walki z klerykałnym systemem, od chwili wejścia do Sejmu ustawodawczego w r. 1919 stosunek kleru do ludu poddawał druzgocącej krytyce w mowach, wnioskach i interpelacjach sejmowych, które w przedruku obeszyły Polskę i Amerykę, zamieszczane tam nie tylko w postępowych polskich gazetach, ale tłómaczone i przez gazety angielskie. Można sobie wyobrazić miny owych proboszczów i wikarych, a nawet biskupów, którzy przy-



zwyczajeni do baraniej uległości jednostek i stronnictw, nagle ujrzeli swoje fotografie w mowach posła Putka.

Pod wpływem interpelacji sejmowych rząd zmuszony był badać przytoczone w mowach i interpelacjach fakta, księza wędrowali do starostw na przesłuchania, a im który więcej dopiekał ludowi, tem też z siarczyszą spotykał się interpelacją posła Putka w Sejmie, a choć go potem wybielono, to jednak sporo kłopotów miał na parę miesięcy. A że w tej gromadzie ludzi każdy ma nieco masła na głowie, tak powąchawszy pismo nosem, wielu z pośród księży, znanych „zjadaczy“ ludowców, położyło uszy po sobie, z ambon już nie politykuje, aby uniknąć kłopotów z interpelacjami sejmowymi związanych na i nie figurować w „Kropidle“, dodatku do „Chłopskiego Sztandaru“. Po takim ostrzelaniu terenu „Lewica P. S. L.“ mogła ze spokojem głosić w Sejmie i rozwinąć w kraju propagandę za rozdziałem kościoła od państwa. Tu wyjaśnić należy sprawę stosunku „kościół narodowego“ do ludowców, która mylnie jest przedstawiana w prasie i broszurach. Wiadomo, że tylko Stapiński wraz z posłem piastowym Szmigłem zdeklarowali się jako zwolennicy tegoż kościoła. Stapiński na swój sposób łączył politykę z religią. Cała ta jego robota pochodzi nie z jakichś idealnych pobudek, ale z chciwości zysku. Oto kościół narodowy ma wielu swoich zwolenników w Ameryce, gdzie też Stapiński wysłał „Przyjaciela Ludu“. Poparcie to mu się opłaciło, bo już raz dostał od wdzięcznych wyznawców tegoż kościoła ofiarę 500 dolarów „na stronnictwo“, a stale otrzymuje poparcie w formie prenumeraty dolarowej. Oczywiście stronnictwo nie widziało z tego ani feniga i nie byłoby nawet tej ofiary przyjęło. „Przezorny“ Stapiński obrócił tę gotówkę na potrzeby jego fabryki smarów w Krakowie, zwolennikom zaś kościoła narodowego w Polsce przyobiecał, że ufunduje za te pieniądze pomnik dla św. Cyryla i Metodego na Salwatorze w Krakowie. Podczas gdy posłowie Czapiński i Dr. Putek stojąc na straży ustawy konstytucyjnej w wykonaniu programów swoich stronnictw w Sejmie serdecznie orędowni za legalizacją wszystkich wyznań i zaniechaniem represji i prześladowań religijnych nie tylko przeciw kościołowi narodowemu, ale wogóle przeciw wszystkim wyznaniom w Polsce, to Stapiński swojemi wystąpieniami i przylepianiem się do kościoła narodowego nie

tylko szkodził stronnictwu, ale i kościół narodowy kompromitował. O ile mi wiadomo, to kościół narodowy odzegnuje się od niego w interesie swego powodzenia.

\* \* \*

Polityka, jaką przez szereg lat uprawiał Stapiński była polityką posilania żołądka. O ile w stronnictwie i narodowego uświadamiania ludu nie zaniedbywano, to czynili to ludzie inni, a mianowicie, czyniła to niejednokrotnie przez Stapińskiego krzywdzona inteligencja ludowa. Pierwszy zasiew w tym kierunku czynili Wystouchowie, ogromne w tem zasługi położył patrijarcha ruchu ludowego Jakób Bojko, który szczególnie w czasach przedwojennych słowem swem w stylu Mikoła Reja z Nagłowic, dużo do budzenia ruchu narodowego wśród chłopów się przyczynił. Przyznać muszę, że dużą zasługę w tem ma cały szereg nauczycieli ludowych, którzy pracowali w stronnictwie ludowym i pracą swą polityczno-oświatową rzadko rozgłoszą, uzupełniali pokarm duchowy, jaki bardzo ludowi się przydawał. Z pośród profesorów gimnazjalnych szczególnie przypomina mi się Władysław Wąsowicz, dzisiejszy kurator naukowego okręgu krakowskiego Jan Owiński, Gabrjel Dubiel i Dr Karol Kwieciński. Z nauczycieli ludowych, którzy dużo pracowali dla ludu: Wojciech Seweryn, Baścik Michał, Westfalewicz, Feliks Koczur, Tadeusz Sejb, Maksymiljan Hawlicki, Jan Tepper, Wł. Sienko i wielu, wielu innych, których na poczekaniu z myśli wynotować nie mogę. W pewnym kierunku Stapiński szeregi ludowe wprost demoralizował. Nie znosząc przy sobie ludzi mądrych, najchętniej widział kandydatów na posłów w osobach politycznych pionków, którychby użytkował do podnoszenia rąk przy głosowaniach, a rady ich starał się nie zasięgać, uchwał Rady Naczelnej niezawsze się trzymał albo wywracał je, jak mu było potrzeba, oraz interpretował je, jak mu się podobało. Gdy przyszły wybory kandydatów na posłów, to do gustu mu przypadających wspierał, a niejednego nauczył wykorzystać, co do wykorzystania było. Poselstwo w myśl nauki Stapińskiego sprawowane być miało według zasady, że ma brać djety kto inny, to niech je bierze przynajmniej chłop, który za posłuszeństwo wobec niego dokupi sobie parę morgów ziemi.

Po Stojałowskim drugi wódz ludowy jeszcze za życia patrzy



na gruzy, jakie zgotował swojemu stronnictwu i na rozbicie, jakie spowodował swoim postępowaniem. Przekonał się, że w polityce nie można ani o młynarza, ani o kominiarza się ocierać, że trzeba iść prostą, choć ciernistą drogą, że taktyka kompromisów i koziołkowania, prędzej czy później się zemści, bo kiedyś na tem nawet zwolennicy się poznają, nie dadzą się okłamywać i wyprowadzać w pole. Stapiński, który myślał o tworzeniu w polityce ludowej przedsiębiorstwa familijnego, siebie uśmiercił. W ten sposób zeszedł Stapiński po 34-letniej działalności z widowni politycznej, chyba nie przez wielu żałowany, ale za to przez masy ludu potępiony za swoje czyny. Swem ustąpieniem przyniósł tylko wielką ulgę ludowi, bo w końcu już był warcholą bez poczucia odpowiedzialności, którego żadna mądra rada nie potrafiła ująć. Przypominają się słowa Wyspiańskiego z „Wesela“: „Miałeś Jasiu złoty róg — ostał ci się jeno sznur!“

---

## II.

## Sylwetki politycznych działaczy.

Od chwili założenia Polskiego Stronnictwa Ludowego, dużo przesunęło się przez jego szeregi postaci politycznych różnego rodzaju i typu. Byli ludzie wielcy, przeciętni i moralne karły. Były charaktery kryształowej czystości, perły nieczęsto spotykane, byli ludzie z charakterem woli i słabi, praktyczni i bujający po błękitach, wytrwali i łatwo opuszczający skrzydła, energiczni i mniej do czynów sposobni. Niesposób wyprowadzać w skromnym pamiętniku legjonu postaci i charakteryzować jednego działacza po drugim, boć to byłoby zadanie bardzo rozległe i bardzo trudne. Szkoda też wspominać o ludziach, którzy w ruchu ludowym byli raczej balastem nieproduktywnym, a co gorsza osobników, którzy zwąchawszy, że polityka, to ciężki kawałek chleba i można sobie na niej zęby połamać, a nic przy niej nie zyskać, w ciągu różnego czasu gubili się. Tych postaci zupełnie na światło dzienne nie warto wyprowadzać, bo nie chcą być niczym potępicielem. Ułomności ludzkiej spotyka się w życiu sporo.

Różne radosne i ciężkie chwile przeżywało się w stronnictwie. Nie brak było wspaniałych momentów radości i wzruszeń, były i dnie przygnębień. Szczególnie podnieść należy tę serdeczność, jaka zawiązała się między wieloma ludźmi, bez względu na ich przynależność do tej czy innej warstwy społecznej. Ludzie nieznający chłopą, częstokroć posądzają go o nieufność, szczególnie w stosunku do inteligencji. Chłop jest takim, jakim go społeczeństwo wychowało. Nieufność chłopą do inteligencji wyrabiała się traktowaniem chłopą w urzędach, na plebanjach i we dworach. Gdy jednak chłop bliżej popatrzył na prace oddanych mu inteligentów, nabierał do nich zaufania, darzył ich nią



nierz nawet bezgranicznie i dużo trzeba było wysiłków i przekonywań, aby tego lub owego przeniewiercę opuścił, gdy na taki los zasłużył. Ten moment przywiązania obserwujemy na wszystkich przywódcach, którzy się chłopom sprzeniewierzyli, a mimo to każdy z nich do końca życia znajdzie swoich wielbicieli, którzy dlatego, że swego czasu mu zaufali, dożgonnie go nie opuszczają. Miał swoich „mameluków“ Stojałowski, ma ich Stapiński, a mieć ich będzie każdy, ktokolwiek zdołał się rzeszy ludowej przysłużyć.

Przebiegając myślami te gęste szeregi dowódców Stronictwa Ludowego niechaj mi wolno będzie wspomnieć o niektórych pracownikach na niwie ludowej, których nazwiska w pamięci ludu powinny przetrwać poza nasze czasy. Miałem to szczęście, że wielu członków P. S. L. zaliczałem do swoich osobistych przyjaciół, z którymi po dziś dzień rzetelna przyjaźń niczem nie została zachwiana. W skromnych podwojach mojego domu w Zabłociu miałem istny zajazd przyjaciół i z pewnością samemu Karolowi Stefanowi „mogłem być robić konkurencję“ tem, ile się do mnie politycznych osób zjeżdżało w odwiedziny. Jeśli tylko komu ze znajomych wypadła droga choćby w sąsiedztwo Żywca, to nie zapominał, aby choć na parę godzin zawadzić o mój dom i o bieżących rzeczach pogadać. W ten sposób od Jana Stapińskiego, Jana Kubika, Jakóba Bojki. Dra Szymona Bernadzikowskiego, Michała Olszewskiego, Jana Dąbskiego, Władysława Wąsowicza itd. itd. aż do Dra Putka, całe zastępy „ludzi politycznych“ u siebie przyjmowałem. Zdarzało się mi i to, że na terenie politycznym spotykałem bardzo dużo ludzi, których jeszcze za lat młodych poznałem, jak np. Dra Stanisława Białego, Dra Michała Janika itd.

\* \* \*

O ks. Stojałowskim ktoś napisał, że żywo przypomina on ks. Stanisława Orzechowskiego. Niesposób w krótkim szkicu scharakteryzować tej postaci, która od r. 1875 aż do r. 1913 była ośrodkiem ruchu ludowego. To też tylko parę charakterystycznych momentów pragnę przytoczyć, aby one dla kogoś, kto zapragnie ująć szerzej historję tego człowieka, służyły jako wskaźniki orientacyjne. Mam wrażenie, że człowiek ten ruch ludowy wy-

wołał nie z ideowych pobudek, lecz z zemsty za odebranie mu rentownego probostwa kulikowskiego. Ruch ludowy miał być narzędziem zemsty na rządzącej klicie klerykalno-szlacheckiej. Stojałowskiego obserwowałem akurat w momencie przełomowym, gdy z działacza ludowego przedzierzgnął się w wiernego sługę kleru i wielkorządców galicyjskich — stańczyków. Pierwsze kupno Stojałowskiego odbyło się w ten sposób, że prezydent ministrów hr. Kazimierz Badeni wręczył Stojałowskiemu pewną sumę pieniężną tytułem „zwrotu“ za marki pocztowe, nalepione na skonfiskowane egzemplarze „Wieńca i Pszczółki“. Był to tylko pozór, albowiem takich prezentów żadnemu pismu nie robiono. W latach 1900 i 1901 stańczycy krakowscy inną formę „pomocy“ dla Stojałowskiego zorganizowali. Nie chcąc mu dać pieniędzy z własnej kasy, namówili go, aby wnosił do Powiatowych Kas Oszczędności podania o pożyczki i to wcale wysokie, zapewniając go, że zarządzające kasami Wydziały powiatowe, w których przewagę mieli stańczycy bez trudności i bez zabezpieczeń żadanego kredytu mu udzielą. Ks. Stojałowski rzeczywiście takie podania np. do kas powiatowych w Wadowicach i w Myślenicach pownosił. Starostowie, którzy byli komisarzami rządowymi, delegowanymi do nadzoru kas, otrzymali zlecenie aby sprawy Stojałowskiego energicznie poparli. I tak np. w wadowickiej Powiatowej Kasie Oszczędności za pożyczką dla Stojałowskiego orędowną starosta Franz, a tylko sprzeciw dwóch dyrektorów kasy śp. Michała Gołomba i posła Antoniego Styły udzielenie tego kredytu uniemożliwił na tej podstawie, że przecież Stojałowski nigdyby nie był w stanie sumy żądanej zwrócić. Dzięki stańczykom krakowskim otrzymał też Stojałowski znaczną pomoc na zakupno domu w Białej, który jakkolwiek formalnie nazwano „Domem polskim“ dla celów użyteczności publicznej przeznaczonym, w rzeczywistości jednak była to prywatna własność Stojałowskiego. Na dom ten i jego rozszerzenie zbierano ciągle składki a rachował je sam Stojałowski, nikogo do wglądu nie dopuszczając. Po śmierci Stojałowskiego między spadkobiercami jego a endekami były spory o ten dom, które jednak starannie zatuszowano.

Całe życie ks. Stojałowskiego pełne było kłopotów finansowych, które z prawej drogi politycznej na manowce go spychały. Czy to chodziło o słynną lampę jerozolimską, czy o wek-



słowe pożyczki zaciągane u parlamentarnych portjerów w Wiedniu, a nawet u członków partji jak np. posła Kubika, który omal z tego powodu na bęben licytacyjny nie poszedł, wszystko to dyskredytowało go w opinji publicznej. Kłopoty finansowe zapędziły go wreszcie do endeków. Profesor Buzek a dzisiejszy senator piastowy, oraz dzisiejszy minister Głębiński omotali Stojalowskiego tak, że im swój jedyny instrument polityczny tygodnik „Wieniec-Pszczółka“ odstąpił. Z aktów procesu toczącego się między spadkobiercami Stojalowskiego a Zamorskim i Grabskim, prowadzonego przed sądem obwodowym w Wadowicach, poseł Dr. Putek odpisał tekst kontraktu zawartego w sprawie tego wydawnictwa, który jako dokument historyczny, charakteryzujący metody endeckie za „Chłopskim Sztandarem“ w całości przytaczam:

## U M O W A.

I. Podpisany Ks. Prałat Stanisław Stojalowski sprzedaje:

- 1) Wydawnictwo „Wieniec-Pszczółka“,
  - 2) drukarnię polską w Białej oraz
  - 3) odstępuje prawa, jakie mu przysługują z umowy o dzierżawę koncesji drukarskiej p. K. Studenckiego,
- a P. P. Prof. Grabski oraz Jan Zamorski kupują powyższe przedsiębiorstwa oraz prawa.

II. Cenę kupna przedmiotów w ust. I. opisanych, stanowić ma renta dożywotnia wynosząca 400 K miesięcznie, płatna z góry, gdyby atoli Przew. Sprzedający nie mógł z powodu przedwczesnej śmierci korzystać z swej renty przynajmniej przez cały rok, natenczas przyjętą zostanie przez strony jako cena kupna i ustępstwa, ryczałtowa suma K 4800, przyczem kwoty pobrane do czasu przedwczesnej śmierci tytułem miesięcznej renty, będą uważane jako raty, wypłacone na poczet ryczałtowego wynagrodzenia i suma ich zostanie potrąconą od kwoty K 4800.

III. Sprzedaż następuje w stanie wolnym od ciężarów t. zn. że Sprzedający ręczy że powyższe przedsiębiorstwa nie są obciążone długiem.

IV. Na wypadek gdyby z powodu przedwczesnej śmierci Przew. Sprzedającego WP. Kupujący mieli wypłacić jego spadkobiercom ryczałtowe wynagrodzenie, umówione w ust. 2-gim,

Przewielebny Sprzedający zezwala, aby WP. Nabywcy stracili z niego kwotę K 2000 t. j. dwa tysiące koron na zaspokojenie prywatnych długów u Jego Exc. Prof. Dra Głębińskiego i Prof. Dra Buzka zaciągniętych.

V. Strony stwierdzają, że w dniu 13 b. m. nastąpiło oddanie inwentarza drukarni, oddanie zaś wydawnictwa „Wieniec-Pszczółki“ nastąpiło przez zawiadomienie organów administracyjnych i wniesienie odpowiednich podań do władz.

VI. Przew. Sprzedający stwierdza odbiór kwoty K 400 tytułem części umówionej ceny kupna.

VII. WPP. St. Grabski i Jan Zamorski zobowiązują się prowadzić nadal wydawnictwo „Wieniec-Pszczółka“ w dotychczasowym kierunku, t. j. na podstawie programu Związku narodowo-ludowego.

VIII. Oprócz świadczeń umówionych w ust. I-szym, oddaje Przew. Sprzedający w najem WP. Kupującym na czas pobierania renty co najmniej atoli na przeciąg jednego roku t. j. do 1-go października 1912 r. lokal w swym domu w Białej złożony z czterech pokoi, z których trzy zajęte już są przez drukarnię i administrację pisma. Czynnosc objęty jest wynagrodzeniem umówionem w ust. 2-im.

Kraków dnia 17 października 1911 r.

Podpisani własnoręcznie:

Ks. *Stanisław Stojalowski, Jan Zamorski.* Tytułem pełnomocnictwa za Dra St. Grabskiego *Jan Zamorski.*

Jako świadkowie: *Mikołaj Stanisław Weyde, Jan Piętka, Wincenty Horodyski.*

Zgodność z oryginałem potwierdzam.

Biała dnia 13 listopada 1911 roku.

*Dr. Jan Myciński*  
c. k. Notariusz w. r.“.

Zastanawiając się nad charakternością Stojalowskiego mam wrażenie, że ambitny i zdolny ten osobnik miał wielkie aspiracje w stylu jezuickim, piąć się wysoko w hierarchji kościelnej,



a gdy stańcy na tem się nie połapali, że zemsty stworzył im ruch ludowy w Małopolsce. Opowiadał mi Kubik, że Stojałowski chwilami marzył o biskupstwie choćby *in partibus infidelium*, a z czasem i mitrze biskupiej, choćby pod zaborem rosyjskim. Tu leży istota jego umizgów do rosyjskich sfer rządowych i to choćby przez „Warszawski Dniownik“. Proces ten za powoli postępował. Stojałowski pozbawiony środków do życia jakieby się mu były u schyłku żywota szczególnie przydały — załamał się. Wszedł w porozumienie z endekami, gdyż uważał ich za tych, którzy go nie tylko finansowo wspomogą, ale i zaspokoją jego ambicje. Z tem się niepowiodło, bo śmierć niegodziwa niepozwoiliła doczekać mu tego.

\* \* \*

Jak wspominałem, jednym z mych dawnych znajomych był Jan Dąbski, dzisiejszy wybitny poseł i twórca traktatu ryskiego.

Przypuszczam, że się za to na mnie nie obrazi, jeśli przypomnę, w jakich warunkach gościłem go u siebie, w czasach jego poakademickich. Pewnego popołudnia sierpniowego zjawił się p. Dąbski u mnie i po przywitaniu opowiedział mi, że odbywa drogę z Krakowa do Zakopanego pieszo, że mieszkał przez jakiś czas bardzo niewygodnie u pewnego stolarza w Kałwarji, że obchodzi po drodze wybitniejszych ludowców, więc i do mnie do Żywca zawitał. Bardzo uradowałem się miłym gościem, a korzystając ze swego słomianego wdowieństwa, coś przez 3 dni z prawdziwą uciechą gościłem go u siebie. Rzecz prosta, że wszystek wolny czas spędzaliśmy na pogawędkach politycznych, a kiedy pierwszego dnia po kolacji położyliśmy się spać, ze 3 razy kończąc, zaczynaliśmy rozmowę z powrotem, która jeszcze w łózkach do późnej nocy się przeciągała. Po ostatnim dobranoc słyszę, że Dąbski nie może usnąć, a gdy zapytałem się go, dlaczego nie usypia, odpowiedział: „nie mogę spać, bo łóżko za wygodne“. Biedny Dąbski, który się 14 dni wyponiewierał niewygodnie, nie mógł zasnąć w łóżku... Ooo, bo w ciężkich niedostatkach zaczynał politykę, późniejszy polski wiceminister spraw zagranicznych. Kiedy w parę dni potem spotkałem Dąbskiego na odsłonięciu pomnika Chałubińskiego w Zakopanem, więcej niż skromnie ubrany, niósł w pochodzie wieniec z koso-

drzewiny, a niejeden zakopiański „burżuj“ był zgorszony tem, że tak nędznie ubranemu, omal że nie obdartemu delegatowi pozwolono wieńczyć pomniki zasłużonych ludzi. Dąbski, który mi żywo przypomina dzisiejszego Sanojcę, niczem się nie zrażał i wytrwale pracował w raz obranym kierunku.

\* \* \*

Senatora Dra Stanisława Białego znam z jakie lat 30. Dzisiejszy senator sprzykrzył sobie w swoim czasie mury seminarjum duchownego w Przemyślu, nie chciał być księdzem, ale zato zapragnął być oficerem artylerji. I rzeczywiście był ładnym porucznikiem w Ołomuńcu. Zrażony stosunkami służbowymi w armji porzucił to rzemiosło wojenne, zapisał się na Uniwersytet w Czerniowcach, a pracował w kancelarji notarialnej w Brzozowie. Chodząc... w Brzozowie na czerniowiecki uniwersytet, składał egzamina, a później po krótkiej praktyce notarialnej wstąpił do sądownictwa. W Brzozowie obrósł wkrótce w piórka i znaczenie, a jako człowiek pięknego charakteru zapisał się dobrze w pamięci powiatu, sprawując w mieście urząd naczelnika sądu. W stronnictwie zawsze reprezentował kierunek klerykałno-konserwatywny, na klerykałnych marjańskich kongresach referaty wygłaszał o szkodliwości picia gorzałki, a dziś na stare lata zjada „panis bene merentium“ jako senator piastowy w Tymczasowym Wydziale Samorządowym we Lwowie.

\* \* \*

Szczególną sympatją otaczano Dra Szymona Bernadzikowskiego. Jak się rozpatruję w całym zespole ludzi, którzy w obozie ludowym znachodzili się, to z całą pewnością jako nieomylną prawdę mogę stwierdzić, że drugiego podobnego Bernadzikowskiemu niema i nie było. Aż pojąć nie mogę, dlaczego ten perłaczłowiek wróciwszy po 11-letniej pracowitej służbie w Wydziale krajowym, na dawną swoją zarobkową placówkę lekarza w Brzesku, jest stosunkowo tak mało przez ludzi uznawanym, że już drugi raz nie zdobywa mandatu poselskiego w swoim okręgu. Człowiek tak dużej wiedzy naukowej, politycznej, tak pięknego charakteru i takiej pracy, powinien być zasyłany deputacjami,



by raczył przyjąć najwyższe godności, jakie są do rozdania. Ilekroć miałem sposobność przypatrzeć się temu człowiekowi krytycznie, nie mogłem dla tego nieskazitelnego człowieka dość znaleźć słów zachwyty. Na karcie historii ruchu ludowego znajduje się jego nazwisko, w najcięższych bowiem czasach w latach od 1897 do 1901 był prezesem klubu posłów ludowych w Sejmie we Lwowie.

\* \* \*

Rolę nauczyciela historii polskiej i wychowawcy chłopca na obywatela pełnił w stronnictwie Jakób Bojko, autor słynnej książki „Dwie dusze”. Zawsze był wyznawcą zasad kompromisu, a mało może kto wie, że wówczas, gdy konserwatyści nabyli dla Koła polskiego w Wiedniu grupę Stojałowskiego, wówczas Bojko, ulegający łatwo nastrojom, już zdecydował się do Koła polskiego wstąpić. Trzeba było dopiero wysiłków Stapińskiego, aby go przekonać o szkodliwości takiej taktyki. Z bólem serca Bojko pozostał wówczas poza Kołem polskim, ale wnet z tą rolą się pogodził. Gdy w pewien czas potem Stojałowski podrażnił go jakimś artykułem w „Wieńcu - Pszczółce”, odpalił mu Bojko broszurą p. t. „Podniosła krowa ogon do góry i spuściła go na dół”, w której piętnował Stojałowskiego — za wstąpienie do Koła polskiego. Dobry humor nigdy go nie opuszczał. Nie zapomnę tego faktu, że gdyśmy chodząc po Żywcu, przypatrywali się rozmaitym typom okolicznego ludu, to Bojko zauważył, że niezłe byłoby, gdyby w Żywcu stał pierwszy pułk ułanów z Tarnowa, bo toby może w przyszłości wpłynęło na poprawę rasy. Bojko był typem polityka-poety, a przytem niezwykle drażliwy tak, że Stapiński stale nazywał go „kapryśną Marysią”. Jakiś czas Bojko był redaktorem „Przyjaciela Ludu”, który wówczas głosił hasło „wielcy i mali rolnicy” łączcie się.

Po aferze z Długoszem Bojko Stapińskiego opuścił. Stapiński nieraz do mnie mówił, że wszystkiego się spodziewał, ale nigdy tego, aby go w tej ciężkiej chwili Bojko zawiódł. Długie czasy nie mógł mu tego darować i przypisywał to zobowiązaniom pieniężnym, jakie miał mieć Bojko wobec Długosza.

\* \* \*

Drugim typem konserwatywnego polityka chłopskiego jest Andrzej Średniawski. Nad jego utratą Stapiński bolał również bardzo długo. W polityce należał wprawdzie czasem do niekonsekwentnych uparciuchów, ale za to pod względem zalet moralnym człowiek pierwszorzędnym. W Towarzystwie ubezpieczeń „Wisła” przez 14 lat blisko obserwowałem sumiennosc tego człowieka i przyznam się, że tylko ten miałem żal do niego, iż siedząc w stronnictwie „Piasta”, będąc sam tak prawego charakteru, nigdy nie odważył się zrobić piekła piastowcom z powodu zatruć polityki ludowej geszefciarstwem.

\* \* \*

Do pięknych charakterów zaliczyć należy Jana Kubika, posła do Rady państwa. Był to poprostu fanatyczny ewangelista swoich przekonań, a przytem człowiek otwarcie i gwałtownie zwalczający wszelką obłudę klerykalną. To też w życiu swym kilkanaście razy wędrował na rozprawy do sądu w Wadowicach, oskarżany o obrazę religji. Zdarzało się niejednokrotnie, że Kubik, który lata chorował na serce i płuca, kiedy mu zdrowie nie dopisywało, do mnie się z Wiednia uciekał o ratunek i niejednokrotnie za jeźdźcą do mnie z omijaniem własnego domu, do którego mu było ciężiej wybrać się, jako że było mu z drogi. Poznałem go dobrze. Był to człowiek głęboko religijny, nienawidzący jednak faryzeizmu klerykalnego. Bardzo chętnie rozczytywał się w Piśmie świętem, a w walce z księżmi był niezrównany, gromiąc ich całymi ustępami cytowanymi z ksiąg świętych Ojców kościoła. Na domu w Janowicach ustawił gromochron. A gdy raz — zdaje się poseł Putek — przybył do niego w odwiedzin, wówczas objaśnił go, że to jest konieczne. „Gdyby — mówił Kubik — piorun do mego domu uderzył, fanatycy klerykalni uznaliby to za karę Bożą, a tak przez gromochron ja piorunem kieruję”. Był on uczniem Stojałowskiego i on też głównie do zdemaskowania Stojałowskiego się przyczynił. Należał także do ludzi nienawidzących Austrii i w sposób złośliwy wykpiwał przeróżnych mężów stanu, którzy prędzej czy później Austrię pchną w przepaść. W aferze Długosz-Stapiński stanął po stronie Stapińskiego. Należał jednak do tych, którzy kiepski koniec Stapińskiego przewidywali. Był nieustępliwym ra-



dykałem i żadnych kompromisów politycznych nie uznawał. Należał do najskrajniejszych polityków z lewego skrzydła stronnictwa. Ciekawą była jego śmierć. Umierał w chwili, gdy już wiadomem mu było, że Piłsudski stanął na czele Niepodległej Polski. Gdy mu zaproponowano spowiedź przed śmiercią, odrzekł: „całe życie walczyłem z klerykalizmem i jego urządzeniami, więc nie przystoi mi na łożu śmierci siebie samego ośmieszać“. Mimo to jednak proboszcz uroczyste nabożeństwo za niego odprawił, na cmentarz zwłoki jego odprowadził, czcząc w nim człowieka niezwyklego charakteru. Sterany pracą przedwcześnie się postarzał i na oko człowiek silnej budowy, uległ chorobie gruźlicy toczącej go od lat.

\* \* \*

Człowiekiem bardzo oryginalnym pod każdym względem, a w swoim radykalizmie bardzo zbliżonym do Kubika jest 2-krotny poseł sejmowy Antoni Styła z Choczni, który politycznie służył najpierw pod Stojałowskim, a potem od r. 1896 do obozu Stapińskiego się przeczucił. Styła należał do ludzi, który każdemu bez ogródek wypalił prawdę w oczy, przyczem niejednokrotnie dosadnych wyrazów używał wcale nie wybieranych, nierzadko nawet trywjalnych. Pomimo wszystko jest to człowiek, który zasługuje na mir, a w stosunkach gościnności niełatwo mu ktoś sprostą. Wiele, bardzo wiele przyjemnych chwil spędzało się u Styły, jakby na łonie piastowskiej rodziny. Pracowity i zapobiegliwy a jednak do największych obowiązków zaliczał pracę polityczną, która mu dość przykrości i cierpień przysparzała, co go jednak do „kochanej polityki“ nie zrażało. Jak tylko zatrąbili na wyborczą wojenkę, włókł się z nami po zgromadzeniach i chłopom „do głowy oleju przylewał“.

\* \* \*

Typem polityka erudyty był poseł Andrzej Kędzior, wielce zasłużony dyrektor Biura melioracyjnego przy wydziale krajowym we Lwowie. Za ciężko na mnie zajmować się rozbiorem krytycznym tego człowieka i polityka, który wprawdzie też należał do uparciuchów w guście Średniawskiego, ale pracą swoją i wiedzą imponował. Przypominam sobie jego referat na Radzie Na-

czelnej Stronnictwa o „Budowie kanałów wodnych w Galicji“. W stronnictwie o przedmiocie tym prawie nikt nie miał zielonego pojęcia, niejeden się może dziwił nazwie „dróg wodnych“, a po referacie nadzwyczajnie przystępnym każdy w tej sprawie, nawet najmniej naukowo przysposobiony, nieźle się orjentował. Referatu Kędziora wysłuchiowano z zapartym oddechem. Zdaje mi się, że poseł Kędzior według zamiarów Stapińskiego miał zastąpić trutnia politycznego Krempe, a inżynier Haładej z Ekspozytury melioracyjnej w Mielcu nawet w tem był pomocnym. Zamiary te jednak spaliły na panewce, Krempa się nie dał „wyszkląć“, a Kędzior niebawem przeszedł pod berło Długosza i należał do najgwałtowniejszych przeciwników Stapińskiego. Onto wy dostał od hrabiego Stürgkha dokumenty rządowe stwierdzające, iż Stapiński z funduszu dyspozycyjnego dostał 80.000 koron i na podstawie tych informacji w aferze Długosz-Stapiński był niejako generalnym prokuratorem i nielitościwie smagał go bardzo dobitnymi argumentami, nie mając dla niego ani skry pobłażliwości. Człowiek nadzwyczaj czysty uznawał, że w polityce tylko czysti ludzie powinni brać udział, a sprzeniewierzający się tym zasadom powinni być bez ogródek i bez pardonu tępieni. Dzisiaj p. Kędzior podobnie jak i Dr. Biały jest ostatnim Mohikaninem do upadłego broniącym trupa politycznego w postaci Tymczasowego Wydziału Samorządowego, któremu przewodniczy.

\* \* \*

Pod względem wiedzy i pracy podobnym był do Kędziora Dr. Franciszek Stefczyk, dyrektor Biura Patronatu dla Spółek rolniczych i Kas Reiffeisena, który w stronnictwie piastował godność posła z powiatu Jasielskiego, a gdy ze Stapińskim często się ścierał, podziękował za mandat i ze stronnictwa Stapińskiego wystąpił. Głównie poróżnił się o popieranie Konfederacji Stronnictw Niepodległościowych, sam bowiem hołdował kierunkowi Cieńskiego i brał nawet udział w tajnym zjeździe w Pieniakach, na którym był i Dmowski. Wielce to zasłużony człowiek w pracy społecznej nad ludem, ale więcej ciągnący na prawo i dobrze na prawo, aż ostatecznie znalazł się w sferach klerykalnych. Można się było z nim na niejedno nie godzić, ale nie wolno nikomu nie uznawać jego zasług.



Swego czasu nie przyjął austriackiego orderu, wychodząc z przekonania, że polskich piersi nie powinny zdobić orderzy rozbiorców. Poczytano mu to za piękny rys charakteru.

\* \* \*

Długoletni poseł Franciszek Krempa należy do posłów dość skrętnych. Zapewne osiągnął rekord pod względem wnoszenia częstokroć bardzo głupich interpelacji tak na arenie sejmowej we Lwowie, jak i na arenie parlamentarnej w Wiedniu, czy już w polskich czasach w sejmie warszawskim. Kto obserwował z galerji Parlamentu, czy Sejmu, ruch na sali sejmowej, to nieraz mógł zauważyć Krempe z przymrużonem oczkiem, zbierającego podpisy na swoje interpelacje, gdzie mu się udało. Ostatni ten mohikanin Stapińskiego sporządził w swem życiu politycznym tyle interpelacji, że na pomieszczenie ich trzebaby dużej szafy. W Sejmie polskim niezmiernie przepisuje stare interpelacje z austriackiej Rady państwa i wnosi je ponownie. Ze Stapińskim „różnie się miewał“, ale w końcu godzili się jakoś między sobą. Orłem politycznym nie był, ale okręgowi swemu wyborczemu przysługiwał się, jak mógł i na co go stać było, nie zapominał też i o swej kieszeni. Ostatnio, zasłynął wraz za swoim przyjacielem Wiewiórskim z podrabiania podpisów w księdze obecności posłów, wyłożonej na sali sejmowej.

\* \* \*

Do „pocziwych chłopów“ w stronnictwie należy Kuba Madaj z jasielskiego. Prochu nie wynalazł, ale się niczem przez czas swego posłowania nie splamił, a nikomu też obłaskawić się nie pozwolił. Jako wójt słynął z uczynności i uczciwości, o które to zalety niestety u ludzi na tych stanowiskach jeszcze trudno. Długie lata szedł on ślepo za Stapińskim, ale w końcu i on się zrewoltował, przystając do grupy posła Putka.

\* \* \*

Drugi poseł z jasielskiego, a to do Sejmu we Lwowie, Andrzej Bosak, też należał do wiernych i posłusznych wyznawców Stapińskiego. Przeciwnicy jego ćwierkali mu w oczy tem, że

wolał spirytus od wody, a może czarną z rumem, ale to mu nieuchybiało. Lubiał też wojować pałą. W r. 1913 w Brzyszczkach ciężko uszkodzono kość nosową posłowi Dąbskiemu w bójce aranżowanej przez niego. Przypominam sobie go, gdy raz na posiedzeniu Rady Naczelnej podczas wojny przybył z pod Grodna, jako „cięty Zugführer“, którym wyponiewierano niejednen teren wojenny. Zeszedł on kawał świata od Litwy do Albanji. Jako mowca był typem skandalicznym. Mówi, dobierając przekręcanych wyrazów, z których ludzie ze śmiechu pękają.

\* \* \*

Do wcale sympatycznych posłów należał Antoni Bomba z Budziwoja w powiecie rzeszowskim. Był to chłop, który sporo szkół powąchał, bo nawet studjował weterynarję we Lwowie, a tylko stosunkami familijnymi zmuszony wracać na ojcowski zagon, obranego zawodu nie dokończył. W polityce rej wodził początkowo pod Stojałowskim, obok niezapomnianego ś. p. Tomasza Szajera, z którym przeczucił się do obozu Stapińskiego, Szajera jednak stronnictwo nie przyjęło, pomimo zgłaszania się jego do Stapińskiego. Z Bomby był niezły poseł i niezgorszy próżniak, a gdy się „skuplował“ w agitacji z niebardzo sympatycznym druhem, niejakiem Kawalcem ze stałym skutkiem podmulił go w poselstwie cygan i spryciarz pierwszej klasy, Antoni Szmigiel, który jakby urodzony na agitatora chłopskiego, łatwo się z nim uporał.

\* \* \*

W ropczyckiem działał pracowicie długie czasy, choć bez należytego uznania obecny senator i radca sądowy Franciszek Ścibor. Ścibor należał do tych ludzi, którzy mieli pecha i niejednokrotnie, co on ugotował, inni mu wyjedli. Jakby spóźnioną zapłatę otrzymał przeciw krzesło senatorskie. Pracował w powiecie wspólnie ze ś. p. Michałem Jedynakiem, Janem Siwulą i Staniszewskim Józefem i zawsze do... ich wyborów poselskich dopomógł.

\* \* \*



Do ludzi, którzy stale mieli pecha, a którzy wiedzą fachową i polityczną bardzo byliby się przydali Stronictwu na szerszej arenie, należał Dr. Szczepan Mikołajski. Jako młody lekarz kandydował w Krakowie na posła do parlamentu w r. 1897 i od tego czasu ani razu nie starał się o mandat poselski. Osiadłszy w Dobczycach prowadził żywot lekarza wolno praktykującego i gdyby nie Stapiński, byłby na tym partykularzu zaśnieżył. Stapiński wywiódł go do Lwowa, osadził w redakcji „Kurjera Lwowskiego“, a już sam Mikołajski zaczął się starać o coraz szerszą praktykę lekarską. Z czasem stał się redaktorem „Głosu lekarskiego“ i pracą naukową w swoim zawodzie oraz pracą społeczną wśród lekarzy po dziś dzień się zasługuje. Wkońcu powołany został na dyrektora Departamentu sanitarnego we Lwowie i stanowisko swoje tak ceni i tak się na niem czuje dobrze, żeby go nawet za tekę ministerjalną nie zamienił. Wprawdzie wielu uważało go za człowieka mało przystępnego i zarozumiałego, ale jabym wszelkie tego rodzaju poglądy śmiało uchylił. W polityce często Mikołajski boczył się na Stapińskiego i chociaż prywatnie był mu osobiście wdzięczny, że go skierował na drogę, po której doszedł do kariery, to nie podzielał taktyki politycznej, jaką Stapiński uprawiał, a od czasu frondy Dąbskiego pod sztandarem Stapińskiego nie stawał.

\* \* \*

W Krakowskim zapamiętałem obok Serczyka dwóch posłów Franciszków. Byli to Franciszek Ptak i Franciszek Wójcik. Obaj rywale zatwardziali. Jeden krążył po Sejmie, drugi po parlamencie. Ptak był dobrym gospodarzem i kupcem i dorobił się majątku i Serczyk na polityce nie stracił a Wójcik dorobił się godności ministra w gabinecie Moraczewskiego. Obecnie pominięci przy wyborach, wyliczają szczęśliwszym od siebie kandydatom djety.

\* \* \*

Do sympatycznych kompanionów politycznych należał inżynier i minister robót publicznych Pruchnik Józef. Należał do tak zwanych „ludzi z wiary“, godnością ministerjalną nie rozdymał się i w sferach ludowych cieszył się dużą sympatią. Zdaje się, że

nagonka na niego nastawiona w Sejmie, była dziełem... Bryła. Obecnie wstąpił do P. P. S.

\* \* \*

Trzeci minister z desygnowania Stapińskiego do gabinetu Moraczewskiego Stanisław Stączek, też zażywał sympatji, chociaż szersze sfery chłopskie prawie go nie znały. Obracał się więcej w sferach kolejarzy, a w Skawinie prowadził konsum kolejarzy. Po zamianowaniu go ministrem kolei, podając dziennikarzom „curriculum vitae“, z dumą w niem zaznaczył jako wypadek historyczny, iż konsum w Skawinie, któremu on przewodniczył... zabił i rozdzielił kilkadziesiąt wieprzów. W stronictwie nie zawsze godził się z tem, co robił Stapiński, choć w decydujących chwilach za nim się oświadczał.

\* \* \*

Lepszego uznania za swą pracę nad ludem powinien się był doczekać Dr. Langer, lekarz do dziś dnia praktykujący w Mościskach. W poczynaniach politycznych spotykał go los Ścibora, Mikołajskiego i tym podobnych „pechowców“. Człowiek skromny, na godności nie był łasy, ale przy odpowiednim docenianiu go powinien był spotkać się i z poselską godnością.

\* \* \*

Do polityków, którzy wspaniale umieli robić chłopom „wiewter w głowie“ należał poseł Antoni Szmigiel, poraz drugi piastujący już godność poselską. Przypuszczam, że sam niejednokrotnie z podełba cynicznie się śmieje i z tych ludzi, którzy go na godność poselską wsadzają, a jeszcze bardziej z tych, którzy go nią darzą. Człowiek zdolny bez kwestji, a „lombrosowska głowa“ świadczy o problematycznych zaletach tego pana. Chodził od Stapińskiego do Długosza, świecił djabłu świeczkę i Panu Bogu ogarek, grosze wycygniał, aż wybił się na pierwszego przedstawiciela okręgu rzeszowskiego. Jest to typ, który „ogniem i żelazem“ z życia publicznego należy wytępić.

\* \* \*



Typ karjerowicza widzę w profesorze Gabrjelu Dubielu. Długi czas tańczył między Stapińskim a Witosem, a mam wrażenie, że gdyby był między nimi „się nie wybił“, to i „czerwony sztandar“ byłby śpiewał pod komendą Daszyńskiego, w którego organie umieszczał korespondencje, jakich mu się nie umieszczało w „Przyjacielu Ludu“. Nie czułem wielkiego nabożeństwa do tego obecnego powiernika Witosa, który dziwnym sposobem, wyforował się na ministra rządu lubelskiego. Przypatrzywałem się mu długie lata, bo już jako student pojawiał się w redakcji „Przyjaciela Ludu“. Od najwcześniejszej młodości zdradzał zarozumiałość, próżność, a dużą polityczną tępotę. Siedząc w Tarnowie w „Plonie“ i handlując podczas wojny, jako profesor gimnazjalny, mydłem, pisywał korespondencje z Dąbrowskiego, któremi się nie chełpił, bo nigdy ich nie podpisywał.

\* \* \*

Politykiem z ciężkiego dopustu Bożego, który sam nie wie, jakim sposobem i za co był wybrany dwa razy na posła, jest Franciszek Maślanka. Kto w nim odkrył zdolności polityczne i komu się udał buchalter gazowni miejskiej w Krakowie, tego nie doszedłem. Obleciał od Stapińskiego do Witosa, od Witosa do Matakiewicza i mandat zdobył po księdzu Madeju w Nowotarszczyźnie, aż wreszcie przyłgnął do Dubanowicza. Ktoś się o nim złośliwie raz wyraził, że „nie głupi chłop, tylko mu tego udowodnić nie można“. No, ale czego można się spodziewać po... Maślance?!

\* \* \*

Do działaczy sympatycznych zaliczał się Konstanty Laskowski, sekretarz Magistratu w Gorlicach. Należał też do pechowców w stronnictwie i zdobycie mandatu poselskiego 2-krotnie nie udało mu się, choć wart był takiej godności. Gładki, układny, troszkę nudziarz, na polityka może za delikatny, a bez powodzenia biorący w obronę w ostatnich czasach Stapińskiego. Jako człowiek pracowity i pedant, bardzoby się był przydał do prac komisyjnych w Sejmie. Ciekawa rzecz, że silna Stapińszczyzna w gorlickim z wyjątkiem Długosza, żadnemu Stapińczykowi nie dopisywała.

\* \* \*

Dobrze mi utkwiał w pamięci Leon Gajewski, szczególnie tym faktem, że na kongres w r. 1914, który się odbywał w Krakowie w sali letniego teatru w parku krakowskim, przyniósł Stapińskiemu, w swoim domu na strychu znaleziony stary harap pańszczyźniany, który Stapiński ku niezwykłemu poruszeniu uczestników zebrania, demonstrował jako instrument, jakim się posługiwali „jaśnie panowie“ w stosunku do dziadków obecnego chłopskiego pokolenia. Jest to typ chłopca, który nie z jednego pieca chleby jadał, a lubi patrzeć, gdzie się z komina kurzy.

\* \* \*

W gorlickim żyje także i drugi stary działacz ludowy, kowal, Aleksander Mordawski z Szalowej, który swego czasu przy wyborach do pierwszego sejmiku warszawskiego nie dopilnował należycie zgłoszenia listy kandydackiej do sejmiku i Konstantego Laskowskiego tym faktem pozbawił możliwości zdobycia mandatu.

\* \* \*

Posel Ruebenbauer z bocheńskiego należał do tych, którzy pierwsi zwrócili Stapińskiemu uwagę na to, że wielka kroi się sfera między nim a Długoszem, ale też sam w tym czasie z pod sztandaru Stapińskiego uciekł. Na jego miejsce usadowił się późniejszy prezes Urzędu Ziemskiego Dr. Władysław Kiernik. Człowiek sumienny i ludowi szczerze był oddany.

\* \* \*

Posel Wiktor Skołyśzewski długie czasy był w obozie Stojakowskiego i gdy się zdecydował przerzucić do obozu Stapińskiego, nie utrwał z nim nadzwyczajnych stosunków i między nimi stale panowała wzajemna nieufność. Gdy zdołał go wysadzić z krzesła poselskiego Dr. Franciszek Bardel w powiecie wielickim, to Stapiński za stratą tego przyjaciela łez zbytnio nie wylewał. Skołyśzewski odznaczył się w sejmie galicyjskim tem, że zreferował z pewnym pożytkiem dla chłopów ustawę łowiecką, przyczem wygłosił pamiętną swą bez przerwy 11 godzin trającą mowę, którą byłby i dalej poprowadził, gdyby nie konieczność pewnych fizjologicznych potrzeb, dla których marszałek krajowy Hr. Stanisław Badeni nie miał wyrozumienia a Skołyśzewski chcąc nie chcąc musiał mowę zakończyć. Obecnie poli-



tykę odsunął od siebie i poświęcił się robieniu interesów. Słynna afera z wywozem 20.000 świń za granicę związaną jest z jego nazwiskiem.

\* \* \*

Powiat krośnieński jako kolebka ruchu ludowego wydał bardzo dużo dzielnych ludzi. Berło pierwszeństwa oddają tutaj przemysłowcowi krośnieńskiemu i długoletniemu wiceburmistrzowi miasta Jędrzejowi Krukierkowi, który długie lata stękał pod ciężarem niepobłażliwego mu losu, podczas wojny wielce się zasłużył na swoim stanowisku burmistrza i choć niejednego od powrózka rosyjskiego uratował i niejedną nędzę uchylił, sam wreszcie wpadł w ręce zbirów moskiewskich i skazany został na zesłanie. Tylko dzięki tak wielkiemu dostojnikowi, jakim był hrabia Szeremetjew został uwolniony. Stapiński temu człowiekowi zawdzięcza i karierę polityczną w dużej mierze, a prawie w całości majątek.

\* \* \*

Drugi znany działacz to Michał Mięśowicz z Korczyny, człowiek godny uznania za swą wytrwałość polityczną. Charakter piękny, uczynny i pełen poświęcenia dla ludu.

\* \* \*

Nieprzeciętnym działaczem politycznym był także naczelnik sądu dukielskiego Dominik Pawłowski. Według jego zapatrywania mocno skrzywdzony przez Stapińskiego, w ostatnich czasach usunął się od polityki i myślał więcej o sobie, a nie o drugich.

\* \* \*

Okręg Tarnowski wydał dwóch chłopów polityków a przytem sławnych „ludzi interesu“: Michała Olszewskiego i Wincentego Witosa. Olszewski swą karierę polityczną jeszcze przed wojną skończył, a dorobiwszy się w Banku parcelacyjnym majątku, jest dziś obszarnikiem i w spokoju spędza ostatek dni żywota swojego. Jako poseł do Rady państwa reprezentował kierunek, hołdujący prowadzeniu chłopskiej polityki w duchu

klasowym, na wzór czeskich agrarjuszów. Gdy Stapiński w kompromisach z konserwatystami zabrnął zbyt daleko, Olszewski założył w Tarnowie „Gazetę Chłopską“, którą mu redagował nauczyciel Stanek i dzisiejszy zwolennik endeków profesor gimnazjalny z Wieliczki Młynek, który podpisywał się w niej stale: „Prof. Ludwik Młynek kmieć ze Sierczy“. Gazeta robiła poważną konkurencję „Przyjacielowi Ludu“, smagała bowiem służalstwo i niewolnictwo polityczne. Słynny był w tej gazecie artykuł z atakiem na posłów Ptaka i Wójcika, krakowskich „Paradebauerów“, którzy pojechali do Wiednia w dekoracyjnych ludowych strojach na jubileusz cesarski. (Nawiasem mówiąc cała ta krakowska banderja była zapłaconą ze skarbu państwa a był poseł Ptak, który był głównym przedsiębiorcą od organizowania tej parady, podobno dość skąpy był w wydatkach, tak że z tego powodu miał wielkie nieprzyjemności ze strony „krakusów“, którzy niezbyt wiele sprofitali na małpowaniu przed cesarzem wesela krakowskiego). Przykra choroba mózgu, tak jednak osłabiła Olszewskiego, że niebawem musiał porzucić rzemiosło polityczne, tembardziej, że Stapiński stale podmywał go... Witosem.

\* \* \*

Wincentego Witosa poznałem dawno, prawie od chwili gdy zaczął jako niemowle polityczne stawiać pierwsze kroki. Od czasu do czasu przysyłał on do redakcji „Przyjaciela Ludu“ korespondencje, które na niego zwróciły uwagę Stapińskiego. Gdy zdaje mi się w r. 1903 rozpisano wybory do tarnowskiej Rady powiatowej, Stapiński pojechał dopilnować agitacji. Wszystko było dobrze, tylko chłopci tarnowscy na żaden sposób nie chcieli postawić kandydatury Witosa na członka Rady powiatowej. Mandat ten Stapiński wprost dla niego u chłopów wyzebrał.

Nic dziwnego. Chłopi nie mieli jakoś do Witosa „przekonania“, albowiem ten drwał księcia Sanguszki raczej im na pastuszkę wyglądał. O zewnętrzny swój wygląd wcale nie dbał. Gdy PSL w r. 1905 urządziło w Krakowie dla swoich agitatorów kurs polityczny, nie zabrakło tam Witosa. Młody adept sztuki politycznej przyjechał na kurs boso, w bluzie po jakimś austro-węgierskim infanterzyście i w kapelusiku przyozdobionym w wieściórzczy ogon. Jestem pewny, że napomknienie mu wówczas o czamarze, byłoby kamieniem obraży.



Przy wyborach sejmowych w r. 1908 poszło już trochę lepiej. W roku 1907 Witos agitował w czasie wyborów do parlamentu za Michałem Olszewskim, uganiając po powiecie na rowerze, zakupionym mu przez Dubiela Gabryjela, oczywiście z funduszów partyjnych.

Dał się więc trochę chłopom poznać, to też w rok później można już było z kandydaturą jego do sejmu galicyjskiego wystąpić. W sejmie pokazało się, że jest to okaz nadzwyczaj ciekawy. Nikt go nie lubiał a w gronie posłów-włościan nie miał ani jednego przyjaciela.

Czyto Krężel, czyto Styła, czy nieboszczyk Bis wszyscy mu niedowierzali, a niejednen z nich w przystępie szczerości określał Witosa słowem „cygan“ „kręt“. O ile wiem to nawet dziś w gronie swoich posłów chłopów niema on ani jednego przyjaciela, a jeśli się go trzymają, to jedynie dlatego, że związał ich interesami, jak np. Cielucha w spółce „Zrąb“, Nawrockiego czy Plutę w tej lub innej organizacji ekonomicznej, a inni za mandat poselski siedzą cicho i robią, co im każe.

W Sejmie galicyjskim długo milczał. Dopiero razu pewnego w czasie dyskusji budżetowej wygłosił mowę o „bołączkach“ chłopskich. Mowa ta była niby „przekładaniec“, „groch z kapustą“, bardzo jednak efektownie zakończył ją Witos frazesami i cytatai dostarczonemi mu przez jednego ze współpracowników „Kurjera Lwowskiego“, zaczerpniętymi z utworów Krasińskiego. Nawiasem dodać muszę, że jak Bojko jest w swoim rodzaju erudyta, to Witos lekturę swoją do gazet ograniczył i w życiu swem ani jednej poważniejszej książki nie przeczytał.

W Krakowie na on czas wychodził miesięcznik społeczno-polityczny i literacki redagowany przez śp. Wilhelma Feldmana, który pod pseudonimem „Juniusa“ umieszczał sylwetki polityków polskich. Zdarzyło się, że na podstawie tej mowy nakreślona została w krytyce sylwetka „naturalisty“ z Bożej łaski Witosa. Odtąd Witos stał się popularnym w radykalnych i socjalistycznych kołach inteligentkich. Nauczycielstwo ludowe, hołdujące wówczas radykalizmowi politycznemu, zapraszało Witosa na swe zjazdy, sławiąc jego cnoty polityczne, a wymyślając Stapińskiemu. Stapiński widząc, że stwarzają mu konkurenta, niepokoił się o przyszłość swoją. To jednak trzeba mu przyznać, że niejednokrotnie choć był związany sojuszem z konserwatystami, pragnał

u siebie „rewolucji pałacowej“, aby pod jej wpływem większe ustępstwa na stańczykach wymusić. Oczywiście zawsze w tych wypadkach oko jego padało na Witosa, którego prosił o wygłoszenie ostrzejszego przemówienia w Sejmie, które miało być groźnem „memento“ dla konserwatystów. Pokazało się jednak, że Witos był bardzo radykalny... ale na wiecu w Wierchosławicach, w Sejmie jednak strzegł się pilnie, aby mocniejszego słowa prawdy konserwatystom nie powiedzieć. Obserwowałem go na radach naczelnych stronnictwa. Ile razy była jakaś drażliwa kwestja, wywołująca rozbieżność zdań, a nawet ostrą walkę, tyle razy nie można było wiedzieć, jakiego zdania jest p. Witos. Przemówienie jego w tym wypadku było stereotypowe: „Nie da się zaprzeczyć, że pan prezes Stapiński ma rację, ale z drugiej strony uwzględnwszy to, co panowie z innego punktu traktujący sprawę powiedzieli, przyjąć się musi, że mają i oni rację“. Wszyscy byli pewni, że Witos jest po ich stronie, a gdy przychodziło do głosowania, p. Witos popatrzył na zegarek i podsunąwszy się do sekretarza partyjnego, zapowiedział mu, że wyjść musi, bo akurat pociąg wyjeżdża do Wierchosławic, a on właśnie na ten wieczór musi tam być na posiedzeniu... Rady gminnej. W czasie afery z Długoszem parę miesięcy „strzygł i golił“. Na słynnem posiedzeniu Rady naczelnej w Rzeszowie w grudniu 1913 r., na którym stronnictwo podzieliło się na „stapińczyków“ i „długoszców“, adwokat Dr. Grek, który wówczas stał po stronie Stapińskiego, po kompromitującej mowie Długosza, odezwał się do Witosa: „No jak pan? To pan idziesz z Długoszem?“ — „Mnie ani Stapińskiego, ani Długosza na nic nie potrzeba“ — brzmiała odpowiedź chytrego Witosa. Przyszła wojna, która homeryckie boje „stapińczyków“ i „długosików“ przerwała. Walki partyjne zawieszono, a utworzono N. K. N., w którym aż do ostatka siedział i p. Witos. Przynależność do N. K. N. dała mu jednak sposobność nie tyle do prowadzenia wielkiej polityki narodowej, ile do robienia... zwyczajnych geszeftów. Pan Witos w czasie wojny światowej został do spółki z kilku innymi członkami swej partji dostawcą wojskowym. W latach 1917 i 1918 wchodzi w stosunki z Centralą Odbudowy i dostaje budowę 500 domków w tarnowskiem. W r. 1918 do spółki z posłem Brylem i Rączkowskim przy pomocy austriackich władz wojskowych sprowadza z Ukrainy płótno, które prawdopodobnie z doskonałym zarobkiem rozsprzedane



zostaje między ludność. Charakterystycznym jest, że po sprzedaniu tego płótna wnosi podanie do Centrali Odbudowy kraju o przyznanie mu subwencji na potanienie... dawno sprzedanego płótna. Centrala subwencję przyznaje. Rozdział skór podeszwowych dokonuje się przy pomocy Witosy, do którego krakowska Izba handlowa odsyła skóry te wagonami. „Przyjaciół Ludu“ otrzymuje zażalenie, że w Wierzchosławicach wprowadza się pewne formy pańszczyzny, ci tylko bowiem dostają skóry, którzy idą pracować na gruncie pana wójta Witosy. Z Sanguszkami żył jak pies z kotem. Ile razy nie sprzedali mu drzewa w swoich lasach, tyle razy przypuszczał do nich „Piast“ ataki, aż wyrąb po przystępnej cenie sprzedali. Słowem następcą w mandacie poselskim dyrektora Banku parcelacyjnego Michała Olszewskiego niemniejszy ujawnił spryt kupiecki i zdolności handlowe od swego poprzednika. Rok 1918 zbliża Witosę do narodowej demokracji, która sama będąc liczebnie słabą, z konieczności szukała dla siebie oparcia na najpowszechniejszym elemencie piastowskim za cenę dostojenstw dla pana Witosy.

Po przewrocie politycznym zostaje więc Witos przy poparciu narodowej demokracji prezesem Polskiej Komisji Likwidacyjnej, gdzie ręką i głową Lasockiego prowadzi politykę endecką. Cuda się dzieją. Taki dorobkiewicz wojenny, endek Dobija, zostaje np. starostą w Żywcu, Kucharski wsławia się w dziale aprowizacyjnym, słowem przy pomocy Witosy endecja wypływa na polityczną widownię w Małopolsce i to za tanią cenę... za godności dla pana Witosy. Zupewnie tak, jak i dziś. I dziś bowiem endecy w Polsce rządzą dlatego, że p. Witosę zrobili prezydentem ministrów. Osobiste powodzenia prostolinijnemu kmiotkowi z Wierzchosławic zawróciły w głowie. Uwierzył, że jest człowiekiem opatrnościowym, że nawet najwyższe dostojenstwo w Polsce jemu się „słusznie patrzy“. Wierzchosławianie nieraz mówili, że za czasów, gdy naczelnikiem państwa był Piłsudski, z najbliższego koła Witosy słyhać było wrogię mu wyrażenia. Piłsudskiego Witos nienawdził, bo — zdaniem jego — on mu zawadzał, on jego gwiazdę przyćmiewał.

Brak linii politycznej, chodzenie „krajem piekła, krajem nieba“ było stałym zjawiskiem u niego. Np. w towarzystwie Daszyńskiego i Stapińskiego pojechał do Lublina asystować przy tworzeniu się „rządu lubelskiego“, gdy zaś wrócił z Lublina,

zajął wręcz odmienne stanowisko wobec tego rządu. Gdy Piłsudski w Warszawie powołał rząd Moraczewskiego, Witos był przy jego narodzinach i nawet nominowany został ministrem, gdy jednak wracał z Warszawy do Krakowa i w pociągu spotkał się z nieboszczykiem hr. Skarbkiem, przywódcą endeków, po rozmowie z nim rozwinął w „Piaście“ do spółki z Rączkowskim agitację przeciw rządowi, nie zgłaszając wcale dymisji ze stanowiska ministra, jakie miał w zwalczanym przez siebie gabinecie. Nawet dla swojego stronnictwa odrobiny względów niema, a gotów jestem zdanie o tym człowieku zmienić, jeżeli ktoś dostarczy mi dowodu, że Witos w życiu swem choćby feniga na poparcie własnego stronnictwa, czy innej jakiej sprawy wyłożył. Przeciwnie sam czytałem listy tegoż p. Witosy, z których wynika, że jakkolwiek Stapińskiego „czesał“ za czerpanie funduszków z mętnych źródeł, sam jednak korzystał z funduszków dostarczanych Stapińskiemu na celę wyborcze z austriackiej kasy rządowej za pośrednictwem Długosza i innym korzystanie zalecał, co zresztą w r. 1913 Stapiński na Radzie w Rzeszowie w oczy mu powiedział. Jedynym inteligentem, który mu na serjo imponował, był poseł Bryl. To też w swoim okręgu w r. 1919 preferował go na posła. Na zapytanie, co widzi w tym Brylu, do szerszego grona osób odpowiedział: „pokażcie mi drugiego tak energicznego chłopskiego syna, któryby wielki zrobił majątek?“ Tylko nieprzewidziane przeszkody polityczne nie pozwoliły mu dotąd za tę zasługę ukoronować posła Bryla taką ministerjalną.

Charakterystyczna rzecz, że rodzinna wieś Witosy, Wierzchosławice, która w większości swej go nienawdzi, przy wyborach na niego głosuje. Dzieje się to nie z miłości do Witosy, ale ze strachu przed nim, Witos potrafi bowiem być mściwym i bezwzględny satrapą.

Sposób jego postępowania z obywatelami gminnymi charakteryzuje następujący fakt: Z Ameryki powrócił do Wierzchosławic niejaki Piotr Maziarski, nawet daleki krewny czy powinowaty Witosy, człowiek mądry, wymowny, obrotny, obeznany z polityką, w Ameryce bowiem długi czas był działaczem Komitetu Obrony Narodowej, ale nie należący do stronnictwa Witosy. P. Witos przeczuł w nim niebezpiecznego konkurenta. Aby się go z gminy pozbyć, rozkazał jako wójt zburzyć chatę owego reemigranta, niby grożąc zawaleniem, aby w ten sposób uniemo-



zliwić mu pobyt w gminie. Nigdy też nie zapomnę owej w treści i w formie zjadliwej ale na prawdziwych faktach opartej interpelacji sejmowej posła Dra Putka p. t.: „Interpelacja posła Dra Putka do Pana Prezydenta Ministrów Wincentego Witosy w sprawie nadużyć popełnianych przez wójta w Wierzchosławicach Wincentego Witosy“. W interpelacji tej przytoczył poseł Dr Putek fakt, iż Witos zakupiwszy od Sanguszków grunt w Wierzchosławicach gwałtem wdarł się w posiadanie tego gruntu, rugując z niego drobnych biednych dzierżawców, którym na podstawie ustawy o ochronie drobnych dzierżawców rolnych przysługiwało prawo uprawiania tego gruntu jeszcze trzy lata.

Niemniej charakteryzuje go następujący postępek: W r. 1921 przyjechał do Wadowic w sprawie urzędowej. Przy tej sposobności pojechał do gminy Choczni do posła Putka w odwiedziny, gdzie razem podobno za zdrowie swoje przypijali. Na drugi dzień poseł Putek pojechał koleją do Tarnowa na poufne zebranie zwolenników Lewicy P. S. L., zaś poseł Witos pojechał też równocześnie automobilem do Wierzchosławic pod Tarnowem. Gdy poseł Putek wszedł w Tarnowie na salę, zobaczył obok siebie swą Witosa — Stawarza, zięcia Witosy i innych jego familjantów z pałami, którzy byliby go wtedy uśmiercili, gdyby nie pomoc robotników socjalistycznych. Poseł Witos przezornie siedział w Wierzchosławicach i czekał... na raporty o zdrowiu posła Putka, za które w Choczni kielichy przechylał.

Słowem jest to człowiek bez uczuć, o kamiennem sercu. Sam raz do posła Wójcika mówił: „Ja jestem zimny jak kamień, choćbyś mi palec tym nożem krajał, to ja nawet nie drgnę!“ Nic dziwnego, że też nikogo do siebie przywiązać nie potrafi. Że jednak utrzymuje się jeszcze na fali życia politycznego, przypisać to należy obniżeniu się poziomu moralnego ludności, nieczulej i niewrażliwej na przywary charakteru swoich przewodców. To w połączeniu z bezkrawatkową demagogją wytworzyło dla Witosy pomyślną sytuację. Punkt kulminacyjny swego powodzenia już osiągnął. Od chwili sojuszu zawartego przez Witosę z narodową demokracją otwierają się ludowi oczy na wartość tego człowieka i jestem pewny, że trybun ten podzieli losy swoich poprzedników — Stojalskiego i Stapińskiego, na czym zaiste ani lud ani państwo nic a nic nie straci.

\* \* \*

Nie byłbym ścisłym, gdybym choć kilku słów nie poświęcił ludziom, którzy szczególnie w ostatnich czasach zaznaczyli się na arenie politycznej. Trójkę ową stanowią: Dr. Michał Janik, poseł Józef Sanojca i poseł Dr. Józef Putek. Pierwszy raz w życiu spotkałem się w Krakowie z Janikiem podczas sławnej demonstracji, jaką urządzono w Krakowie hr. Kazimierzowi Badeniemu po jego dymisji z godności prezydenta ministrów austriackich. Później spotykałem go na terenie śląskim, kiedy piastował w Cieszynie godność profesora polskiego gimnazjum, ja zaś przebywałem w Orłowej. Wówczas uprawialiśmy politykę, współpracując w „Głosie Ludu Śląskiego“, pozostającym pod redakcją Frydla. Przypominam sobie Janika, gdy pojechał w deputacji śląskiej na odsłonięcie pomnika Mickiewicza w Warszawie, a był w Warszawie poraz pierwszy, to o mało nie dostał się tam do X. pawilonu, bo zbyt głośno z okazywaniem pogardy i wstrętu odzywał się o Moskalach i ich rządach w Polsce. Ostatnie czasy przeznaczyły go do pomagania posłowi Putkowi w robieniu frondy przeciw Stapińskiemu. Dr. Janik zawsze należał do tych ludzi, którzy przekonania swoje bardzo radykalnie głośno wygłaszali, a w chwilach przełomowych słowem i piórem sztandaru demokratycznego bronili.

\* \* \*

Poseł Józef Sanojca jest człowiekiem niezwykle oryginalnym. Czystych rąk, skrajnie radykalnych przekonań, robi na mnie wrażenie „polskiego Gorkija“. W życiu nie rozchodzi mu się ani o majątek, ani o godność, pogwizduje sobie ze wszystkiego i w jak najszlachetniejszym stylu myśli o organizowaniu ludu na sposób głęboko sięgający w dno stosunków społecznych. Często w uporze swym nie uznaje nic poza swymi zamierzeniami i celami, do których idzie z całą świadomością i nieugiętą wolą. Kompromisów żadnych nie uznaje, w żadne ustępstwa od programu się nie bawi i dlatego nawet przez Stapińskiego przezywany był „bolszewikiem“. Oczywiście tego scharakteryzowania Sanojcy nie podzielam, tylko go uważam za fanatyka w swoich przekonaniach.

\* \* \*

Człowiekiem, który mi najbardziej imponuje i swoją osobą najwięcej mnie zastanawia, jest młody, na oko mało pokaźny



człowieczek, a wielki duchem polityk... Dr. Józef Putek. Drugiego podobnego Putkowi człowieka nie spotkałem w życiu politycznym i o ile jakieś nieszczęście od niego niezależne, nie stanie na drodze temu zadziwczystemu działaczowi, to wierzę, że ten człowiek doczeka się w przyszłości wspanialszej od wszystkich poprzednich przywódców ludowych, karjery. Poznałem go jako studenta V. klasy gimnazjum wadowickiego w redakcji „Gazety Powszechnej“, a swoją sympatyczną bystrością już wtedy zapowiadał w sobie człowieka, który kiedyś rozgłośnie potrafi się pojawić na arenie publicznej. Stapiński sam odkrył w nim talent polityczny I-szej klasy i sposobił go na swego następcę, tylko poseł Putek do form politycznych, w jakie mistrz Stapiński chciał go wsadzać, zupełnie się nie nadaje. Jako 25-letni człowiek, wybrany posłem zwracał powszechną na siebie uwagę, a najdzielniejsi parlamentarzyści przepowiadają mu wielką przyszłość. Sam fakt, że Stronnictwo „Wyzwolenie“ prawie jednomyślnie wybrało go pierwszym wiceprezesem Klubu poselskiego daje dowód, że dużo sobie po nim obiecuje. Jest to człowiek, w którym nie wiedzieć, co podziwiać więcej, wymowę, czy pióro, czy charakter i nieugiętość przekonań. W życiu politycznym powozi dwoma konikami: ziemia dla chłopów i rozdział Kościoła od Państwa. Po rozbiciu się ze Stapińskim, zdołał gromadę działaczy politycznych skupić koło siebie i w najcięższych warunkach, jakie sobie tylko można wyobrazić, prawie, że w ostatniej chwili przed wyborami, zdołał na swój program skupić blisko 100.000 głosów.

\* \* \*

Od r. 1919 organizacyjnie należał do ludowców poseł Hipolit Śliwiński, wówczas to bowiem wstąpił do klubu „Lewicy P. S. L.“ jako hospitant, poczem hospitacja ta przemieniła się w stałą przynależność do stronnictwa. Poseł Śliwiński w historii demokracji polskiej będzie miał swoją kartę. Nie dlatego tylko, iż był wiceprezem Polskiego Stronnictwa Postępowego, a potem wiceprezesem Stronnictwa Demokratycznego w Warszawie, że łamał w interesie powagi sprawy narodowej solidarność c. k. Koła polskiego w Wiedniu, ale przede wszystkim dlatego, iż stale płacił rachunki, wystawiane demokratom polskim. Ten człowiek niezmordowanej pracy prawie wszystkie swoje dochody rozdawał

na cele demokracji. To we Lwowie ratował pismo socjalistyczne, to nieraz z kieszeni kilkadziesiąt koron wy dobył, aby udzielić „pożyczki“ wybierającemu się na agitację Stapińskiemu, to znów wspierał jakiegoś kandydata beznadziejnego, tu fiakrowi „demokracie“ kupił konia i nową „dryndę“, a wszystko to czynił z fantazją i „romantyzmem“. Za to gdy nieraz sam znalazł się w sytuacjach przykrych, nikt jakoś nie poczuwał się do obowiązku, aby pocziwemu Hipciowi dopomódz. Co Śliwiński zrobił dla popierania idei walki zbrojnej o niepodległość Polski, ilu wyekwipował legionistów, ile tysięcy karabinów zakupił własnym sumptem w fabrykach wiedeńskich dla Związków i Drużyn Strzeleckich, niejeden nic może nie wie, ale sporo o tem powiedzieć mogą wszyscy, którzy blisko tej roboty stali, a w szczególności sam marszałek Piłsudski. Jako „czerwony demokrat“ nie znosił on żadnych kompromisów z obozem wstecznictwa, do którego zaliczał i stronnictwo Witosa, to też gdy w r. 1922 Stapiński poszedł na kompromis z Witosem, poseł Śliwiński zdeklarował się jako zwolennik grupy posła Putka i razem szli do wyborów. Mandat otrzymał z listy państwowej P. S. L. „Wyzwolenia“ i „Lewicy Ludowej“. Zatrzymanie mandatu tego stało się powodem nieporozumienia między posłem Śliwińskim a prezesem „Wyzwolenia“ posłem Thuguttem, skutkiem czego poseł Śliwiński nie został członkiem tegoż stronnictwa, pozostając „dzikim“ członkiem Sejmu, aż dopiero w marcu przygarnął do siebie dwie sirotki Stapińskiego: Krempę i Wiewiórskiego, utworzył z nich „klub“, któremu przewodniczy. Śliwiński „czerwony szlachcic“, pieczętujący się „starym baranem“, jest więc obecnie panem tylko na dwóch chłopach. Bardzo wątpliwem jest jednak, aby do końca kadencji w tej kompanji strawnych połykaczy djet poselskich chciał i mógł on wytrzymać.

\* \* \*

Gdy mowa o działaczach ludowych trudno nie spostrzedz grubej postaci ks. Eugenjusza Okonia. Jako młody wikariusz karierę polityczną rozpoczął on w powiecie kolbuszowskim i krośnieńskim jako agitator narodowej demokracji, pozostający pod komendą Stanisława Grabskiego z którym wspólnie misje polityczne przeciw Stapińskiemu i ludowcom urządał. Bliżej znający



ks. Okonia twierdzą, że już w tych czasach ks. Eugenjusz obok wycieczek politycznych, jako gruba ryba urządził dalekie i szerokie wyprawy na... płotki. W r. 1913 wybrany był posłem z powiatu kolbuszowskiego do Sejmu we Lwowie, gdzie rozweselał ludzi swemi oracjami. Romantyczne wyprawy i przygody doprowadziły go do procesu kanonicznego w konsystorzu przemyskim i zawieszenia go w spełnianiu funkcji kapłańskich. Potem uwikłał się w procesy przed sądami państwowymi. Miałem problematyczny zaszczyt na prośbę jego przyjaciół politycznych interweniować u jednego z prokuratorów, mojego przyjaciela — w obronie ks. Okonia. To, co jednak wówczas usłyszałem o ks. Okoni, skompromitowało mnie w roli interwenienta w obronie tego rodzaju figury. Względne powodzenie polityczne zawdzięcza ks. Okoń przewrotowi politycznemu w r. 1918. Wówczas to — wspólnie z Dąbalem — ogłosił „republikę tarnobrzeską“, a w agitacji tak dalece nie umiał zachować miary, że nawet jego wyborcy-żydzi obwiniali go o wywołanie nieogłędną agitacją zaburzeń antysemitycznych, połączonych z kryminalnymi historjami. Rzeczpospolita tarnobrzaska rychło się na nim poznała, to też przeniósł swe lary i penaty do Kongresówki, gdzie argumentując nie rzadko pałą, front swój zwrócił głównie przeciw „Wyzwoleniu“, pośrednio pomagając piastowcom, którzy rozbijacką robotę mu ułatwiają. Niedawno przecież senator Hammerling interweniował u konsula amerykańskiego o udzielenie ks. Okoniowi wizy paszportowej koniecznej mu do podróży do Ameryki, gdzie pragnął wyjechać na żniwa dolarowe. Wizy tej podobno mu konsul odmówił z powodu jakichś afer emigracyjnych.

Mimo wszystko ks. Okoń, wesoły „męczennik za chłopską sprawę“, jest zawsze pełen dobrej myśli, zawsze marzy, iż wygra wybory i będzie jeśli nie prezydentem Rzeczypospolitej, to przynajmniej kandydatem na niego. Paradne były sprawozdania z wieców jego, zamieszczane w „Jedności Chłopskiej“. Na wszystkich wiecach stale uchwalano: „Niech żyje naczelnik państwa Józef Piłsudski i ksiądz Eugenjusz Okoń“, Ks. Okoń, Szponder — to nowe dowody, iż ksiądz bez względu na to, czy w zgodzie żyje z hierarchją kościelną, czy jest z nią pokłócony, jest czynnikiem zbyt ważnym, a czasem i kompromitującym ruch ludowy. Niestety tak się złożyło, że państwo polskie i lud cierpi od dwóch demagogji: jednej „bezkrawatkowej“, a drugiej „rewerendowej“.

\* \* \*

Szczególne wspomnienie poświęcić muszę nieprzeciętnemu typowi człowieka i polityka, jakim był ksiądz Leon Pastor. Karjerę swoją rozpoczął od tego, że był prezesem Towarzystwa powoźniczego w Radymnie, gdzie też był proboszczem rzymsko-katolickim, a później jako kanonik w Bieczu posłował do Rady państwa w Wiedniu. Widziano w nim rzekomo duży talent polityczny i tego człowieka użyto raz do ujarznienia Stojałowskiego, z którym zakładał „Centrum katolickie“, któremu przewodniczył, z czem trudno się było pogodzić Stojałowskiemu, nieznoszącemu obcego przewodnictwa, drugi raz przeciw Stapińskiemu. Centrum, które miało być konkurencją dla rozwijającego się Polskiego Stronnictwa Ludowego, miało w sobie pomieszczać nietylko „ludowców“ księży, ale wszelkie sługi boże pod postacią organizmów, braciszków kościelnych i przewodników odpustowych dobrze śpiewających, niedługo się utrzymało, a ksiądz Pastor zgłosił wtedy przystąpienie do obozu Stapińskiego. Tu należał zawsze do ludzi niesfornych, nie udało mu się wziąć Stapińskiego za łeb, który przy wystąpieniu Pastora z Polskiego Stronnictwa Ludowego żegnał go pamiętnymi słowy „baba z wozu, koniom łzej“. Misja, jaką przydzielili Pastorowi stańczycy, nie powiodła się mu i nie pofrącił swoją osobą rozsadzić Polskiego Stronnictwa Ludowego, ani stworzyć innego stronnictwa, któreby szczerbiło szereg ludowców.

\* \* \*

Jakże mógłbym zapomnieć o tem, że w szeregach Polskiego Stronnictwa Ludowego w powiecie tarnobrzeskim przewodniczącym komitetu powiatowego P. S. L. był zresztą bardzo uczynny i pocziwy żydek Mojżesz Kanarek. Jestem przekonany, że Kanarek tak działał, jak myślał. Ot, należał do tych żydów pochodzących z ziemian na polskiej ziemi osiadłych, którzy w przywiązaniu do polskiej ziemi żywicielki, czuli się chłopem... w bekieszy. Kanarek służył swego czasu i w Legionach Polskich, a nawet gdy się pod Dobrą w Limanowskim poparzył puszką gorącą z mięsnych konserw, uchodził za bohatera legjonowego któremu jakoby w obronie ojczyzny szabla nieprzyjacielska miała pokaleczyć rękę. Kanarek prowadził biuro partyjne w Tarnobrzegu, a sekretarzem jego był późniejszy prezes Urzędu Ziemskiego Dr. Benedykt Łacki, który jako prawnik był guwernerem Ka-



narków i karierę polityczną zaczął w obozie Stapińskiego. Z tytułu znajomości z Kanarkami rozsiewano o nim wieści, że pewien adwokat krakowski, a zięć Kanarka, umie wywierać na Łackiego duży wpływ, potrzebny mu w sprawach zależnych od owego prezesa Urzędu Ziemińskiego.

\* \* \*

Wszyscy trzej trybuni ludu: Stojałowski, Stapiński i Witos wychowali całą generację polityków mniej lub więcej zdolnych i mniej lub więcej wartościowych. Wstawili się niektórzy niesłychanie. W innym już miejscu wspominałem nazwiska cenniejsze. Niesposób jednak dać miejsca i tym, którzy mniej dobrze zapisali się w pamięci współczesnych i za nich nawet wspomnienia się wstydzą. Niektórych już ziemia święta pokryła.

Każdy prawie powiat miał swoich „luminarzy“. Pod względem szczęścia może się popisać powiat rzeszowski. Ma on zawsze jakiegoś „luminarza“ czy to z Tomasza Szajera, czy to Antoniego Szmigła. Stojałowczyk Szajer należał do przodowników prałata. Lubiał popić, a opowiadać koszałki-opałki na zgromadzeniach wyborcom nieprędko mu kto sprostął. Wypadało z nich, że z cesarzem był prawie „gutfrajnd“, u cesarzowej bywał na jajecznicy na drugie śniadanie“ i t. p. Wielką uciechę w parlamencie austriackim wywołał swoją osobą, gdy po wyborze na posła, siedząc zamknięty w kozie, wydobyty przez Daszyńskiego jako „dogorywający suchotnik“, pokazał się w parlamencie gruby jak beczka i czerwony jak ćwik... U schyłku żywota zgłosił przystąpienie do Stapińskiego, ale go już nie przyjęto dla nieszczególniej opinii, jakiej zażywał.

\* \* \*

Wiernym sługą Stojałowskiego był Maciej Fijak w powiecie żywieckim. Typ chłopca ograniczonego, któremu tylko za zasługę poczytać można, iż nie popełniał niegodziwości, ani „nie poba-brał się“, czego o jego innych towarzyszach nie zawsze da się powiedzieć.

\* \* \*

W grono ludzi, podobnych Fijakowi, zaliczę Roberta Cenę.

\* \* \*

Dr. Danielak także należał do ludzi, którzy wartali lepszego losu, a stosunki go skoszlawiły. To Stojałowski go zawiódł, to ks. Andrzej Szponder mu się swą osobą przysłużył...

\* \* \*

Nie było księdza, któryby tak się spisał, jak ten ksiądz, Andrzej. Lepiej nie wspominać o tem, co się działo w towarzystwie emigracyjnym pod wezwaniem świętego Rafała!... przez niego prowadzonym.

\* \* \*

B. poseł ks. Hanusiak mało zasłynął ze swego talentu. Odznaczał się niezwykle ciekawą budową czaszki, bodaj czy nie skutkiem tego uległ w młodym jeszcze wieku chorobie umysłowej,

\* \* \*

Narobił rumoru sobą swego czasu poseł Wilk, przyłapany na tem, że do swego sklepu przywoził na sprzedaż papier z nagłówkiem parlamentu w Wiedniu. O nieboszczykach nie należy mówić źle, ale gdyby był żył jeszcze teraz, toby był widział, że go nie tacy zdystansowali i nie kradzieżą papieru głupiego... Może się w grobie przewróci, gdy się dowie o Dojlidach i jak to łatwo teraz oberwać jaki folwarczek.

\* \* \*

Do trójcy starej daty należą: Franciszek Kramarczyk w Białskiem, Wojciech Mizia i Wojciech Szwed w Żywieckiem. Pierwszy wstecznik chłopski, jakich mało, propagował oddanie szkolnictwa ludowego w opiekę służebniczek i wysłużonych żandarmów, a rad był za to przeznaczać fundusze na... licencyonowanie buhai w kraju. Podobnego pokroju był Wojciech Szwed, o którym — podobnie jak o Mizi — można powiedzieć, że się dorobił na ubożuchnym powiecie żywieckim, przesiadując długie lata w żywieckiej Radzie powiatowej.

\* \* \*



Poseł Ludwik Dobija był stojałowczykiem i z inwentarzem żywym i martwym przeszedł do endeków pod batutę Zamorskiego. Dobija — to sobowtór Szajera... Przed wojną groziła mu licytacja. Dziś ma dwór we Wschodniej Galicji, a wspólnie z żydem Körblem tartak w Łodygowicach.

\* \* \*

Do stojałowczyków była zbliżona „dynastia“ Potoczaków: Jan, Stanisław i „nowoczesny“ Narcyz Potoczek. „Dynastia“ ta panowała w powiecie sądeckim i chociaż nie była bez lokalnych zasług, należała przecież do tej grupy polityków, którzy miewali głowę i serce w... brzuchu i dbali o materyalny rozwój swych najbliższych, a nie o uświadomienie ludu, zwłaszcza że byli podlani mocno klerykalnym sosem. Stańczycy i tak ich za nic mieli tak dalece, że gdy Stanisław Potoczek został wybrany marszałkiem powiatu, spowodowali to, że cesarz austriacki Potoczka na godności tej nie zatwierdził.

\* \* \*

W Stapińszczyźnie ciekawą trójcę poselską stanowiło trzech druhów: Fiedler w Sanockiem, Paduch w Kolbuszowskiem i Wiącek w Tarnobrzeskim. Ostatni z nich przetańcowywał się po różnych stronnictwach, aż ostatecznie omotany i uzależniony od endeków, znalazł się wreszcie w ich pieleszach. Trójca ta zasłynęła swego czasu tem, że się starała o koncesje szynkarskie w Galicji dla tych petentów, którzy rozumieli się na zasadzie: „jak się da, to się zrobi“. Machinacje ich odkryto i nawet narobiono z tego przesadnego hałasu sporo. Prócz tego Paduch znanym był jako okazały przewodnik w pątnicznych pielgrzymkach i pod każdym względem wybornie się nadawał na takiego, co wyśpiewywał melodje o historycznej dziurze w moście.

\* \* \*

Poseł z Ropczyckiego Józef Staniszewski i Józef Siwula dość zabiegali koło swego powiatu. Włościanin Siwula tylko raz ośmieszył się, chcąc bowiem nadać większego uroku swej poselskiej mości, prezentował się... w cylindrze. W Pilzneńskim pia-

stowską politykę prowadził eksocjalista Adam Krężel, pisarz gminny. Polityka opłaciła mu się, przy „Boskiej pomocy“ kupił już dwór „Borowę“.

\* \* \*

Pomocnym stronnictwu Stapińskiego był poseł powiatu cieszanowskiego, ojciec redaktora „Kurjera Lwowskiego“, Jampolski. W stronnictwie cieszył się jak najlepszą opinią, popierał „bibułę“ rozrzucaną przez Polskie Stronnictwo Ludowe. Zdradzając swoje semickie pochodzenie nieszczególną wymową, naciągany bywał anegdotą o sobie, że zgromadzenia polityczne zagajał przekreśnieniem słów: „Niech będzie pochwalony Jezusa Chrystusa!“ W stosunku do stronnictwa był dzentelmenem i człowiekiem dużego poświęcenia.

\* \* \*

W całym tego słowa znaczeniu złym duchem Wincentego Witosa, jego doradcą i suggestjonerem bywał endek w każdym calu, a tylko z pokostu piastowic, redaktor Józef Rączkowski. Niejednokrotnie zachodzili ludzie w głowę, jak Rączkowski Witosa omotał, jaki miał wpływ na niego szalony i jak kierował jego krokami i czynami, byle ten trybun ludu jak najspieszniej i jak najpewniej kroczył na prawo. Wszystkie poczynania tego człowieka miały charakter endecki i prowadziły do tego, by co najwyżej poprawiać dolę jednostkom chłopskim, dolę materyjalną, ale nie polityczną. Co łączy naprawdę Witosa z Rączkowskim, trudno dociec, bo nawet łączność interesów materyjalnych nie potrafiłaby trzymać tak sobie oddanych spółników. Był czas, że poseł Dubiel Gabrjel rozповідаł w różnych sferach, że pod wpływem Rączkowskiego Witos należy do endeckiego sprzysiężenia, w którym konfratryzy bywają zaprzysięgani na dotrzymywanie przeróżnych zobowiązań i tajemnic.

Zły duch Witosa, Józef Rączkowski, należy przytem do szczęśliwców losu, albowiem z niezamożnego dziennikarza stał się „obywatelem ziemskim“. Nie otrzymał wprawdzie za wysługi w obozie piastowskim, ani za transakcje skórne i inne dobrodziejstwa dla ludu orderu „Virtuti militari“, z tytułu jakiego to odznaczenia miałyby prawo do ziemi, ale „drogą własnej zapobiegliwości“ doszedł do posiadania majątku Piątkowo w Poznańskim. Należy do najwy-



bitniejszych tych działaczy, którzy w polityce ludowej dorobili się fortuny. Oby im po śmierci ta ziemia, którą tak „ukochali“, lekką była...

\* \* \*

W gronie nauczycieli ludowców znalazł się i poseł Tomaszewski ze Strzyżowskiego. Ciekawy człowiek, osobnik mocno nieszczerzy, fałszywy, jak go osądzali współtowarzysze sejmowi i jeden z tych, który swem plotkarstwem często zasmradzał atmosferę polityczną stronnictwa. Odznaczył się tem, że nie czując się na siłach, a ukochawszy mandat poselski, pchał Stapińskiego do Piastowców, licząc, że oni i jemu politycznego żywota przydłużą. Z tego tytułu szczególnie na niesympatję zasłużył u Putka, Sanojcy i Sejba. Już jego poprzednik Łyszczarz, a jeszcze bardziej Harnek, cieszyli się daleko większym zaufaniem i na arenie Rady Naczelnej Stronnictwa i między ludem w okręgu. Za intrygi spotkała go kara, bo w roku 1922 mandatu poselskiego nie uzyskał.

\* \* \*

Wartałoby zadać sobie trudu i spisać ku wiecznej pamięci nazwiska tych działaczy politycznych, którzy jeszcze tuż przed zmartwychwstaniem Polski byli chudopachołkami, a dbając rzekomo o los Ojczyzny, przedewszystkiem swój własny interes mieli na oku i dorobili się majątku przy przeróżnych interesach handlowych, parcelacyjnych i przemysłowych. Ale gdy smutne refleksje naprowadzają wspomnienia tak zwanej rabacji w r. 1846 z jej bohaterem Jakóbem Szelą, by potomności oszczędzić podobnych nazwisk owych obłąpicieli Ojczyzny, nie notuję. Lepiej niech zginą wkrótce w czeluściach pogardliwego zapomnienia i niesławy i nie stanowią kiedyś żerowiska hańby w ustach wrogów naszych, na brak których Polska nigdy narzekać nie może. Nie notuję więc ich. Niech pamiętnik mój, jakkolwiek niejednemu przykreść sprawi, nie stanowi albumu samych „przestępców politycznych“, boć i wielcy i szlachetni ludzie w nim się znachodzą, tylko niech będzie pewnym memento i dla innych w przyszłości, że praca i zasługa prędkiej, czy później uznania znachodzi, a kręctwa, przeniewierstwa i zbrodnie, dokonywane na Ojczyźnie i ludzie, znajdują potępienie. Ludzką rzeczą błędzić, ale ludzie,

którzy rwą się do pracy społecznej i których naród obdarza zaufaniem, powinni być czyści jak iza i pamiętać o owem sławnym przysłowiu łańskim, że „zdrowie Rzeczypospolitej jest najwyższym przykazaniem“.

\* \* \*

Do wspaniałych postaci ludowych, do postaci, które złotemi głoskami powinny być wypisane w dziejach ruchu ludowego, należy przedewszystkiem świetlana postać kobiety, Marji Wystouchowej. Nie miałem szczęścia wiele spotykać się z tą gołębią dobroci i cnoty obywatelskiej istotą. Podobno poseł Bojko ma w opracowaniu dziełko o tej niepowszedniej kobiecie, która z prawdziwym ukochaniem sprawie ludowej poświęcała swe wątle zdrowie i siły. Korząc tylko czoło przed Jej wielką pamięcią i cnotą obywatelską, nadmieniam, że Ona to była tą wspaniałą prądką myśli ludowej, jaka potem pod Jej tchnieniem się obudziła. Niech godniejsze pióro uwieczni Imię tej wielkiej i szlachetnej kobiety.

\* \* \*

Dr. Karol Lewakowski, początkowo poseł miasta Lwowa, późniejszy pierwszy prezes Polskiego Stronnictwa Ludowego, to postać wielkiego idealisty demokratycznego. Sławne były jego występy w parlamencie wiedeńskim w obronie polskiego narodowego honoru. Jako emeryt polityczny przeniósł się do Raperswyllu w Szwajcarii, gdzie jako opiekun polskiego Muzeum Narodowego położył niespożyte zasługi. Willa jego w niedalekiem sąsiedztwie Muzeum była jakby strażnicą tej narodowej świętości. Położona nad jeziorem zuryskim, zdobna była w maszt, z którego powiewała chorągiew o barwach narodowych. Gdy „stróż“ był w domu, chorągiew powiewała wysoko, opuszczano ją, gdy Lewakowskiego w domu nie było. W r. 1905 bawiąc w Raperswyllu, miałem możność sam sprawdzenia tego. Kiedy po kilku latach pobytu na obczyźnie Lewakowski przybył do kraju i wziął udział w politycznym zgromadzeniu, to widać było z jego przemówienia, które, nawiasem mówiąc, zlekka wykpił poseł Daszyński, nazywając Lewakowskiego dobrodusznie „pocciwym staruszkim“, że Lewakowski nie orjentował się już w stosunkach krajowych, rozczulił się rzewnie i apelował do... konser-



watystów, by ci „podali bratnią dłoń... ludowi“, czego się nikt do tego czasu nie doczekał. W niedługi czas potem zmarł Lewakowski w Raperswyllu. Przyszły historyk ruchu ludowego szeroko się zajmie tą wielką indywidualnością.

\* \* \*

Niezwykłym człowiekiem był długoletni redaktor „Kurjera Lwowskiego“ Henryk Rewakowicz. Rusin z pochodzenia a Polak z przekonań, niezachwiany demokrata, bojownik o sprawę ludową wytrwały, charakteru kryształowego. Kilkakrotnie zabiegał o mandat poselski bez powodzenia, bo w czasie sławnych wyborczych rabunków głosów, większość wyborców sztucznie zamieniona została na mniejszość, a mandat komisje komu innemu oddały. Jeżeli kiedykolwiek jaki zawiedziony polityk przewali się przy wyborach, niech się pocieszy, że podobny los spotykał nawet tak dzielnych ludzi — jak Henryk Rewakowicz. Do pracy nad ludem to go zupełnie nie zrażało i do ostatka dni swoich, mocno dzierżył nieskalanymi dłońmi sztandar polityczny, pod którym wiernie i wytrwale służył całe życie. Szwankujący mocno na wzroku nie opuszczał do śmierci pióra, którym smagał konserwatystów niemiłosiernie i dotkliwie. Zapamiętałem sobie raz jego słowa przy zagajeniu Rady Naczelnej w Rzeszowie. Pod adresem stańczyków powiedział wówczas: „Gdyście jaśni, świećcie jaśnie — gdy nie chcecie, niech was jasny piorun trzaśnie!“ Była to postać we Lwowie powszechnie znana, a nawet jego laskę bardzo pokazną i oryginalną oglądano z pewnego rodzaju pietyzmem. Człowiek encyklopedycznej wiedzy i rzadko spotykanej pamięci, a przytem facecjonista niezrównany.

\* \* \*

Drugi redaktor „Kurjera Lwowskiego“, dzisiejszy senator Bolesław Wysłouch, wart sympatycznych wspomnień choćby garsteczkę. Mąż śp. Marji, dzielny jej towarzysz pracy. Wychowawca całego szeregu polityków, którzy mniej lub więcej się mu udali, był promotorem politycznym Stapińskiego, Dąbskiego i innych. Szlachetny entuzjasta, wielki teoretyk, nigdy o mandat poselski nie zabiegał, a stronnictwo „Piasta“ obdarzyło go godnością

senatorską jakby w słuszną nagrodę za długoletnie polityczne wystugi. On był dowódcą duchowym ostatniej frondy Dąbskiego przeciw Witosowi za pakt tego ostatniego z Chjeną. Człowiek nieskazitelny, erudyta polityczny jakich mało, uparty jak... Litwin, bo ta ziemia Mickiewiczów i Piłsudskich go wydała.

Trzej przodownicy P. S. L.: Lewakowski, Rewakowicz i Wysłouch to dzielne filary ruchu ludowego na terenie Małopolski. Pierwszy Polak, drugi Rusin, a trzeci Litwin... Wszyscy trzej gorący patrioci polscy. Czyżby Opatrzność rozmyślnie tak kierowała tym doborem ludzi?

\* \* \*

Dr. Włodzimierz Jampolski, obecny redaktor „Kurjera Lwowskiego“, należy do młodszej generacji działaczy ludowych. Nie wiele umiem powiedzieć o nim, ale fakt, że on to wydał nieubłaganą walkę przeróżnym dojlidziarzom, żerującym na żywym organizmie Ojczyzny naszej i on zdemaskował przeróżne indywidualia, poczytać się mu powinno za rzetelną zasługę.

\* \* \*

„Kurjer Lwowski“ należał zawsze do tych pism demokratycznych, które poprzez cały swój żywot idei demokratycznej nie sprzeniewierzyły się nigdy. Bez względu na to, kto podpisywał pismo, bez względu na ilość prenumeratorów i słowa, w których się rozsmakowywano rozmaicie. „Kurjer Lwowski“ z raz obranej drogi nie schodził. W przeciwieństwie swego imiennika krakowskiego, podobnego do zalotnej Kasi, łakomej tylko na smakołyki, przez kilkadziesiąt lat swego istnienia „Kurjer Lwowski“ nie był na niczyjem utrzymaniu. Redagowali go różni dziennikarze, mniej lub więcej zdolni, z mniejszą lub większą erudycją społeczną i literacką, wielu i wielkich ludzi. Dość nadmienić, że w „Kurjerze Lwowskim“ pracował największy współczesny poeta polski Jan Kasprówicz, że tu długoletnim współpracownikiem był największy współczesny poeta ruski Iwan Franko. Całe zastępy najdzielniejszych dziennikarzy polskich tu zaczynało swe pierwotne poczynania dziennikarskie. „Kurjer Lwowski“ zawsze strzegł czystości swego charakteru i obywatelskiej godności. Był pismem poważnem i nigdy nieschlebiającem motłochowi. Temu



to pismu należy się też wdzięczne wspomnienie i piękna karta w historii ruchu ludowego. W jego lokalu zawsze schodzili się działacze ludowi i zamiejscowi, gdy im droga wypadła na Lwów i tu niejeden informował się, co słyhać na szerszej politycznej arenie i nie tylko o tem, co austriacki prokurator pisać pozwalał.

\* \* \*

Pewną rolę w życiu P. S. L. grała krakowska „Gazeta Powszechna“. Z tytułu tego wspomnę nazwiska kilku dziennikarzy, którzy na łamach tej gazety pomieszczali swoje prace. Naczelnym redaktorem był Władysław Wąsowicz, obecnie jako major wojskowy redaktor dziennika „Polska Zbrojna“. Dzisiejszy prezes klubu sprawozdawców parlamentarnych Władysław Bazylewski był doskonałym korespondentem wiedeńskim gazety, a jego korespondencje w skutkach dotkliwe dla Bilińskiego, w dużej mierze przyczyniły się do zbliżenia się Bilińskiego do Stapińskiego. Współpracownikami byli też prof. gimnaz. Stanisław Niemiec i Stanisław Boczarski, który w wojnie z bolszewikami padł pod Włocławkiem Łokciowej wysokości redaktor „Warszawskiej Gazety Poniedziałkowej“ Zygmunt Augustyński i „szklarz serdeczny“ Tomasz Pluta, dziś wydawca „Dziennika Narodowego“ w Piotrkowie, należeli do nigdy niezapomnianego zespołu. Ciekawa rzecz, że do dziś dnia ludzie ci swoim zasadom nie sprzeniewierzyli się i hasłom ludowym służą.

Recenzentem teatralnym „Gazety Powszechnej“ był Dr. Alfred Jendel, podówczas młodszy prokurator sądu. Nie zapomnę tego wypadku, jak Jendel miał oskarżać Władysława Wąsowicza za jakieś przekroczenie prasowe, co dało nam powód wyśmiewania Wąsowicza, że gdy z poręki Jendla będzie siedział w kozie, to Jendla jako krytyka muzycznego wyforuje z „Gazety Powszechnej“. Nie przypominam sobie, jak to się stało, ale to wiem, że Jendel Wąsowiczowi krwi z palca nie puścił... Wesoly też był wypadek, gdy za jakąś krytykę teatralną, która kapnęła z mego pióra, przyprawiliśmy raz ś. p. Edmunda Rygiera jako dyrektora teatru ludowego — o zafundowanie porządnego śniadania. Artykuł podpisany pseudonimem wielce zaintrygował dyrektora, a swoją ciekawość, kto go popełnił i odkrycie tej dyskrecji musiał okupić przy kieliszeczku „okanapkowanym“.

Klientela w redakcji bywała rozmaita. Nie zapomnę, jak się bawiono tym „politykiem“, który przyjechał do Krakowa, a nie wiedząc, że pojazd, którym się przewoził po Krakowie, nazywa się tramwaj, uparcie twierdził, że jeździł „kunerolem“, bo taki napis na tym samolecącym wehikule widział utwierdzony.

Broniąca interesów wsi „Gazeta Powszechna“ nie miała w miastach wzięcia. Długosz stracił ochotę popierania tejże. Starsze „Nowiny“ robiły konkurencję, bo jakoś lepiej przypadły do gustu sferom, dla których były przeznaczone. Konkurencja przeszkadzała w rozwoju „Gazety Powszechnej“. „Nowiny“ redagował wytrawniejszy od Wąsowicza dziennikarz Ludwik Szczepański i dopiero Marjan Dąbrowski na gruzach „Gazety Powszechnej“ stworzywszy „Ilustrowanego Kurjera Codziennego“, połączył „Nowiny“, a w swe macki redakcyjne wciągnął i Ludwika Szczepańskiego. „Kurjer“ wywiesił szyld pisma apolitycznego i grał rolę tej dziewczynki, która z wszystkimi romansowała. Marjan Dąbrowski, który całą parą zdążył do zrobienia z „Kurjera“ pisma biznesowego, różne sobie upatrywał ofiary, które smagał. Popularność „Kurjerka“ wzrosła podczas wojny dzięki temu głównie, że rząd austriacki zawieszał go 3 razy. Biznesista został męczennikiem. Był czas, że „Kurjer“ ostrą wojnę prowadził przeciwko Stapińskiemu, właśnie przeciwko temu człowiekowi, który pismo to za słynne 80.000 koron z funduszy rządowych od bankructwa uratował, a następnie połowę udziału w tem piśmie Dąbrowskiemu sprzedał. Należytość za tę połowę spłacał Dąbrowski Stapińskiemu prawie do 1917 roku. Interes był interesem, a polityka polityką, to też Dąbrowski najeżdżał na Stapińskiego w „Kurjerze“, nie przebierając w argumentach. Potem zmienił front i wziął się do „Piastowców“, których jakiś Tomanek ochrzcił słynnym przydomkiem „paskopiasty“. Nie trwało to jednak długo, bo gdy Dąbrowskiemu przyszła nagle ochota posłować do Sejmu, to powiadali wtajemniczeni, że Witos, nie czekając na wniesienie przez samego posła Bardla rezygnacji z mandatu poselskiego, sam wniósł na ręce marszałka Sejmu rezygnację, stawiając posła Bardla wobec faktu dokonanego. Nadarzyła się więc dobra sposobność wyciągnięcia Dąbrowskiego na poselskie krzesło, ileż na liście kandydatów figurował on poza plecyma Bardla. Zaopatrzone w mandat Marjan Dąbrowski popadł w sen kataleptyczny i o wszystkich „zasługach“ „paskopiastów“ rzetelnie i z wdzięcz-



nością zapomniał. Za to zapomnienie wyciągnięty został na posła z listy państwowej przez niegdyś oplwanych piastowców. Zdaje się jednak, że długo tam popasał nie będzie, bo „z tonącego okrętu, nawet szczury uciekają“.

\* \* \*

W wadowickim obok b. posła Styły zapamiętałem jeszcze kilku działaczy politycznych, z których do wybitniejszych zaliczał się Franciszek Dziobek z Zygodowic. Należał on do partji Stojałowskiego, potem jednak przerwucił się do ludowców. W r. 1901 jako kandydat na posła do Sejmu, ustąpił nawet miejsca Stojałowskiemu. Przez dłuższy czas był jednym z trzech dyrektorów Powiatowej Kasy Oszczędności w Wadowicach. Dziś zrażony do polityki gospodaruje w Zygodowicach.

\* \* \*

Syn jego Franciszek Dziobek młodszy również namiętnie oddawał się pracy politycznej, rozszerzając „Przyjaciela Ludu“, atoli choroba na długie lata zwała go na łożo, z którego więcej nie powstał.

\* \* \*

Również w wadowickim pracował politycznie Stanisław Cieluszek, strażnik kolejowy, pamiętający jeszcze czasy ucieczki Stojałowskiego do Czaczy na Węgry, gdzie przez granicę też przekradał się na jego wiec. Dłuższy czas dopomagał stronnictwu ludowemu w grybowskiem.

\* \* \*

Jan Swierguła z zatorszczyzny nie bardzo dobrze zapisał się w pamięci chłopów, najczęściej bowiem dawał się używać za narzędzie do osłabienia politycznej siły ludowej. W r. 1908 był kandydatem obszarników przeciw Style, wysuniętemu przez chłopów, w r. 1911 podbijał nogi ludowcowi Baścikowi przy wyborach do parlamentu. Charakterystycznym było to, że wszyscy żydzi w Kalwarji Zebrzydowskiej, instruowani przez Starostwo,

właśnie na Świrgułę głosowali. Na nic mu się to nie przydało, bo i tak fagas hr. Potockiego syna mu zastrzelił.

\* \* \*

Drugi działacz z zatorszczyzny Jan Leszczyński z Rudz orjentował się politycznie wedle dymu z komina. Tam chodził, gdzie się z komina kurzyło.

\* \* \*

Niemalą rolę w życiu politycznem wsi odgrywali agitatorzy, których zawodem stała się agitacja. Typu płatnego agitatora Stronnictwo Ludowe nie wytworzyło, albowiem jako organizacja, w której płacenie składek partyjnych było poczytywane za największy grzech, nie mogło zdobyć odpowiednich środków na wynajęcie odpowiednich do tego celu osobników. Inaczej atoli postępowały stronnictwa oparte o wielki kapitał przemysłowy i rolny. Te mając środki finansowe obfitowały w różnych agitatorów. Zwłaszcza narodowa demokracja posiadała spore kadry agitatorów. Na terenie „małopolskim“ wślawiło się ich kilku, a w szczególności Józef Matłosz, Karol Wierczak, Stanisław Rymar, Maciej Czula, Jan Gruszecki. Trzem pierwszym szczęście sprzyjało, albowiem postują do Sejmu warszawskiego, Wierczak z listy państwowej, zaś Matłosz z okręgu kieleckiego. Że taki typ jak Matłosz mógł uzyskać mandat poselski, to rzecz bardzo charakterystyczna. Jest on synem chłopca z Żarnowej, powiat Strzyżów. Jako agitator służył klerowi i obszarnikom nigdy nie przebierając w środkach. Przez kilka lat będąc na utrzymaniu endeków w redakcji kupionego od Stojałowskiego „Wieńca-Pszczółki“, wynajęty przez Zamorskiego do agitacji, rzeczywiście „kłamał jak najęty“. Z tego tytułu niejednokrotnie stawał przed kratki sądowe. Gdy mu tego potrzeba było do zgębienia przeciwnika, gotów go był w oczy nawet o najstraszniejszą zbrodnię obwinić, a przytem baranim głosem tak „żałośnie“ zawodzić, że głupia dewotka gotowa była uwierzyć, że ten „nabożny“ szelma prawdę mówi. W roku 1914 Matłosz wstąpił do Legionów. W Wadowicach pod kościołem w mundurze legionisty wypalił pożegnalną orację z okazji wyruszenia kompanji legio-



nowej na front i podnosił, że dla przykładu sam z tą kompanją idzie rzekomo na front, atoli widocznie tak głęboko wierzył w wartość swych nawoływań, że w Bochni stracił się z kompanji jak kamfora. Długie poszukiwania robione za tym bohaterem pozostały bez rezultatu. Wypłynął dopiero po jakimś czasie w krakowskiem, gdzie towarzysz partyjny, inspektor szkolny Lorenec nadał mu posadę nauczyciela w szkółce wiejskiej. Od tej chwili, bohater z pod Bochni, wyreklamowany od służby wojskowej, walczył trzcina na spodniach swoich uczniów. Ładne zasady musiał on w te młode główki wpajać, skoro na zgromadzeniach robiąc ze swej osoby wielkiego „męczennika“ za sprawę ludową, udawadniał to twierdzenie faktem, iż policja austriacka aresztowała go w r. 1897 za podżeganie do bicia... żydów. Ten nowy „męczennik“ za sprawę ludową z nastaniem Polski przeniósł się do Kielc, gdzie endeckie metody agitacyjne wypraktykowane w Małopolsce ze skutkiem przeszczepił. Przyzwyczajwszy się do plugawienia i w Sejmie polskim wstawił się plugawieniem bohaterów rewolucji z r. 1905, za co jednak bardzo prędko posłowie dziubek mu zamknęli.

\* \* \*

Poseł Karol Wierczak też pierwsze kroki polityczne stawiał na terenie galicyjskim, a w szczególności w powiecie rzeszowskim. W porównaniu z takim Matłosem jest to człowiek poważniejszy i rozumniejszy. Powodzenia jednak w Małopolsce nie miał, a to skutkiem... okazałej tuszy. Małorolny czy bezrolny chłop galicyjski nie mógł sobie wyobrazić, jak taki gruby Wierczak — a raczej jak złośliwie nazwisko jego przekreślał — „Wieprzak“ mógł być jego obrońcą. W czasie organizowania legionów wstawił się Wierczak wraz z hr. Skarbkiem agitacją za rozwiązaniem wschodniego Legjonu. Dzięki tej agitacji Legjon ten się rzeczywiście rozwiązał, pożytku politycznego z tego nie było, a sporo legjonistów znalazło się w opłakanych stosunkach, podczas gdy Wierczak, który niebawem przedostał się do Rosji pojęcia o ciężkich przejściach tych ludzi nie miał. W każdym razie co robił, to robił, ale robił nawet niepotrzebną rozbijacką robotę odważnie i konsekwentnie.

\* \* \*

Jan Gruszecki, eksnauczyciel ludowy innych metod agitacyjnych używał. Zaczynając wiec, najpierw wycalał się z wszystkimi serdecznie. Temu i owemu wprosił się za kuma, z tamtym pił całe pół dnia a przytem gadał i gadał, nikogo do słowa nie dopuszczając. Z początku podziwiano go, gdy jednak w jasielskiem tych misyjnych całusów rozdał za dużo, gdy parę dzieci przez niego do chrztu trzymany pomarło, uznali chłopci, że ten Gruszecki „jakisi niezręczny“ i ostatecznie odwrócili się od niego... To też rozczarowany Gruszecki zmienił obecnie pole pracy... Dziś agituje po miastach, a w Krakowie delegują go endecy do witania i żegnania wycieczek, zwiedzających miasto.

\* \* \*

Maciej Czula jest synem fornala z Grabia. Początkowo pisywał korespondencje do „Wieńca-Pszczółki“, w których suchej nitki nie zostawił na Stapińskim, Witosie, Bojce, Średniawskim i wogóle wszystkich ludowcach. Gdy jednak Stojalowskiemu zabrakło pieniędzy, gdy i endecy nie wiele dawali, Maciej Czula pogodził się z dawnymi antagonistami i dziś koresponduje do „Piasta“ pod pseudonimem „Maczugi“, jeździ po wsiach i odczytuje z kartek oracje do ludu, w których zachwala Witosa, a gromy potępienia rzuca na jego nieprzyjaciół politycznych. Od czasu do czasu zapewne „kapnie“ mu coś za to z redakcji „Piasta“, a główne utrzymanie daje mu Małopolskie Towarzystwo Rolnicze, gdzie wiceprezes tegoż Jura jest na tyle wspańiałomyślny, że nie tylko dba o siebie, ale przytula także wszystkich agitatorów piastowskich, utrzymując ich na koszt Towarzystwa, jako że są instruktorami rolnymi i oświatowymi.

„Ręka rękę myje“.

\* \* \*

Stanisław Rymar, redaktor „Wieńca-Pszczółki“, pochodzi z tej samej wsi co Stapiński — z Haczowa. Ani z rozumu, ani z wymowy, ani z pióra redaktorskiego, ani z rozmachu agitacyjnego wcale nie zasłynął, ale że „na bezrybiu i rak ryba“, więc i jego endecy do Sejmu wprowadzili, albowiem wiernie im od samej młodości służy.

\* \* \*



W obozie Stojałowskiego wstąpił się agitacjami introligator, syn zamożnego obywatela z Żywca, Jan Trojan. Różnica między nim a takimi np. agitatorami endeckimi polegała na tem, że podczas gdy tamtych musiała partja utrzymywać, to Trojan cały majątek „przeagitował“. Nie było zakątka w kraju, gdzieby ten zapalony agitator nie trafił, głosząc ewangelię „chrześcijańskoludową“, a wiele z niego groszy i Stojałowski wyciągnął, to chyba tylko w momencie „zaproszenia“ głowy, — momencie zresztą bardzo częstym, — sam kompanjom kieliszka opowie. Po śmierci Stojałowskiego przystał do Stapińskiego. Stapiński chciał go nawet zrobić współpracownikiem redakcyjnym, atoli poczciwy Jan nie miał większych aspiracyj. Wystarczyło mu, że pełnił rolę woźnego redakcyjnego. Przy ostatnich wyborach zdarzył mu się wesoły kawał. Stapiński wysłał go do Żywca, celem zebrania podpisów na listę kandydatów stronnictwa Stapińskiego. Na zgłoszeniu tej listy ogromnie Stapińskiemu zależało, chciał bowiem utrudnić wybór frondziście Putkowi, który mistrza Stapińskiego zostawił swemu losowi. Trojan, zebrawszy na listę podpisy, poszedł na kieliszeczek z kandydatem Stapińskiego niejakim Maciejowskim, suspendowanym egzekutorem podatkowym z Żywca. Dyskusja się przeciągała, stała się nawet namiętną, a wkońcu między „kandydatem“ i „delegatem“ Stapińskiego doszło do walki na pięście i szarpaniny, wśród której calutka lista, przygotowana do złożenia w okręgowej komisji wyborczej, podartą została w strzępy. Mistrz Stapiński nie był więc w stanie zrobić najmniejszej konkurencji posłowi Putkowi, albowiem brakło mu czasu do zebrania podpisów na nową listę.

\* \* \*

U Stapińskiego gorliwą służbę agitacyjną pełnił prawnik, Fryderyk Krasicki. Był czas nawet, że duszą organizacji partji Stapińskiego był Krasicki. Absorbowany ustawiczną robotą polityczną, nie był w stanie kontynuować studjów uniwersyteckich, to też po wojnie, gdy został jako oficer zwolniony z wojska, znalazł się w nadzwyczajnie ciężkich i opłakanych warunkach. W r. 1922 Stapiński ściągnął go z posady urzędowej na stanowisko agitatora wyborczego, postawił go nawet na liście kandydatów, atoli komisja wyborcza kandydaturę jego z powodu ja-

kichś braków formalnych unieważniła tak, że biedny Fredek postem nie został i posadę utracił. Z pracy jego agitacyjnej poseł Wiewiórski profituje, on zaś nadal bieduje... „Sunt lacrimae rerum!“

\* \* \*

Wcale oryginalnego agitatora mieli piastowcy w osobie niejakiego Dziamy, o ile się nie mylę, z Tarnowa pochodzącego. Agitację polityczną prowadził w sposób następujący: Zabrawszy ze sobą przyrządy inżynierskie, służące do pomiaru gruntów, przychodził z niemi do pierwszej lepszej wsi i rozpoczynał pomiar chłopskich gruntów. Na zapytanie pointrygowanych tem zachowaniem się włościan, odpowiadał, że przysłany jest przez zarząd Polskiej Partji Socjalistycznej w celach pomiarów tych gruntów, albowiem zaraz z nastaniem rządów socjalistycznych partja ta chce przeprowadzić równy podział gruntów. Rozumie się, iż pozwalał, aby mu pomiar utrudniano. Pozostawił jednak po sobie taką nienawiść do socjalistów, że agitatorzy socjalistyczni wieś tę starannie omijali. Oczywiście, po takiej agitacji tryumfował „Piast“, bo nie tylko cała zastraszona pomiarem gmina głosowała na piastowców, ale jeszcze inne wsie ostrzegła przed „zamachami“ socjalistycznymi na prywatną własność, jakich w tej wsi już bezskutecznie próbowali.

Skutków podobnej szelmowskiej agitacji doświadczył na sobie i taki zawołany agitator, jak ks. Okoń. Zdarzyło się bowiem, że redaktor jakiegoś piemka wyborczego piastowców w Lubelskiem w dziale „odpowiedzi redakcji“, wydrukował odpowiedź mniej więcej w tym sensie: „Obywatelowi wyborcy: Co warta ksiądz Okoń, zapytajcie się biednej dziewczyny Marjanny Wypych, ona wam powie, jak ją uwiódł. Wspomnijcie tylko o tem Okoniowi, a zobaczycie, że ten szelma będzie się przysięgał i wypierał, że to nie prawda, choć dziecko, jak dwie krople wody, podobne do niego“. Skutek tej notatki był niesłychany. Na wiecach i w pogawędkach ludzie wypytywali Okonia o los owej Marjanny Wypych, a ten na wszystkie świętości wypierał się, że jej nie zna, że takiej osoby nawet na świecie niema. To jednak wystarczyło. Chłopi powiadali: „Musi coś być na rzeczy, bo się wypiera. Prawdę gazeta pisała“. Ta nieistniejąca Marjanna Wypych podobno przypawiła partję ks. Okonia o utratę jednego mandatu poselskiego w okręgu lubelskim.

\* \* \*



Na gruncie małopolskim wychowany jest również obecny agitator piastowców w Poznańskim, profesor Michałkiewicz. Redagował on Dr. Danielakowi, byłemu posłowi, gazetę „Obrona Ludu“. Gazeta ta pod redakcją Michałkiewicza skończyła i to właśnie dzięki Michałkiewiczowi, który pokazał, jak się powinno redagować pismo, aby nie miało czytelników.

Z piastowcami powąchał się przy wyborach w r. 1919 w Wadowicach. Przedtem jednak deklarował się po kolei jako zwolennik trzech stronnictw, a może czterech. Był więc bezpartyjnym, potem socjalistą, potem stapińczykiem, potem endekiem, aż na ostatku został piastowcem. Po wyborach przeniósł się na posadę do Poznania. A że tu miał wielkie mieszkanie, więc od czasu do czasu nocowali u niego Witos, Bojko, Pluta, czy inny poseł piastowy. To mieszkanie zadecydowało o politycznym znaczeniu i karierze Michałkiewicza. Przy wyborach w r. 1922 postawili go piastowcy na swego kandydata, ale że wielu było powołanych a mało wybranych, tedy i Michałkiewicz mandatu nie dostał. Jak słyhać, ma być inaczej wynagrodzony. Ma kierować rządowym biurem propagandy politycznej, w gruncie zaś rzeczy propagandy partyjnej na koszt skarbu państwa. Typowy ludowiec nie z przekonania, lecz dla kariery.

\* \* \*

Przeglądając roczniki pism ludowych, napotkać można w nich setki artykułów politycznych, pisanych przez włościan. Wykazują one, jak wielkie publicystyczne talenty kryją się na wsi. Do najcenniejszych publicystów-chłopów oczywiście w pierwszym rządzie zaliczyć należy Jakóba Bojkę, który w tym względzie ma znaczny za sobą dorobek. Po nim najplodniejszym publicystą był śp. poseł Jan Kubik. Od czasu do czasu i poseł Franciszek Wójcik z Wyciąż bardzo dobry artykuł napisał.

Na terenie Kongresówki publicystyczną pracę prowadzą włościanie posłowie Tomasz Nocznicki i Jan Smoła. W latach 1913 i 1914 wybili się jako publicyści chłopów: Grabowski z Boczowa, Jan Padło z Kielanowic. Grabowski, dostawszy się jako austriacki żołnierz do niewoli rosyjskiej, wyjechał stamtąd do Ameryki. Zaś Jan Padło utemperował się, a przy pomocy swego krewniaka posła Witosza kupił dwór Łętowice w Tarnowskim. Obecnie za-

miast publicystyką, zajmuje się trawieniem darów bożych. Trzeci: Kaźmierczak z myślenickiego przedstawił się jako bezcharakterny osobnik. W najobrzydliwszy sposób szkalował Stapińskiego gwoździem uzyskania mandatu poselskiego od jego przeciwników, gdy jednak mandatu nie dostał, przyłgnął do Stapińskiego, z którym wspólnie rozpoczął szkalować dotychczasowych towarzyszy broni. To też wnet poznali się ludzie na tym „niezlomnym rycerzu“.

Z dawniejszych publicystów utkwilo mi w pamięci nazwisko chłopca Kabaja z Głobikówki, który bronił koncepcji politycznych swego mistrza Stojalowskiego w „Wieńcu-Pszczółce“, oraz Wojciecha Potoka ze Zborowic, który w „Gazecie Ludowej“ smagał Stapińskiego. W „Piaście“ w obronie polityki swego obozu politycznego kruszą kopie Jan Sobek z Handzlówki i Andrzej Pluta ze Szklar. W piotrkowskim „Tygodniku ludowym“ uprawiał publicystykę Józef Czech z powiatu pilzneńskiego pochodzący. Również jego Józef Berek pisywał w „Przyjacielu Ludu“, obecnie jednak uzyskawszy z łaski piastowców mandatu, praktyczną polityką zaprzecza zasadom przez siebie głoszonym.

W nowozałożonym „Chłopskim Sztandarze“ zwracają uwagę artykuły młodych włościan Piotra Ostrego z Jasielskiego, Michała Stypuły z Wadowickiego, Franciszka Marjana z Myślenickiego. Bardzo oryginalnym publicystą, piszącym broszury polityczne w duchu protestanckim, skierowane przeciw rzymsko-katolickiemu systemowi, jest „chłop z pod słomianej strzechy“ Antoni Piąza z powiatu bialskiego, również współpracownik „Chłopskiego Sztandaru“.

\* \* \*

Obok talentów publicystycznych pojawiły się i talenty poetyckie. Włościanie Ferdynand Kuraś i Wojciech Zawada to talenty liryczne, Antoni Kucharczyk z Wadowickiego, obok talentu lirycznego, okazał się niezłym satyrykiem politycznym. Wierszyki polityczne pomieszczał pod pseudonimem Jantka z Bugaja w piśmie „Cepy“, dodatku do „Wieńca-Pszczółki“. Czy to, co pisał, pisał z przekonania, wątpię, raczej skłonny jestem przypuścić, że jedynie oplakane stosunki gospodarcze i majątkowe zniewoliły go do sprzedawania swego talentu narodowej demokracji.

Satyry polityczną wierszem uprawia od szeregu lat Walenty Wołoszczak, strażnik kolejowy z Sanockiego. Dawniej wiersze



swe pomieszczał w „Przyjacielu Ludu“, obecnie pisuje do „Chłopskiego Sztandaru“. Nie płaszczy się w nich przed nikim, ale słowa prawdy rąbie każdemu, nie pytając, kim on jest.

\* \* \*

Do osobników, którzy dzięki wojnie i dzięki polityce porośli w piórka w pierwszym rządzie zaliczyć należy posła Jana Bryla. Postać to charakterystyczna. Wylupiate oczy nadają jej szczególny wygląd... odpychający. Jako student politechniki w czasach przedwojennych współpracował z Dąbskim i był jednym z przywódców lwowskiej frondy. W wojnie brał udział w randze oficera, a podobno w stosunku do swych podwładnych z wersalskich form nie sływał. „Mordobicie“ było jego przyzwyczajeniem. W r. 1919 przy poparciu Witosza uzyskuje mandat do Sejmu. Odtąd nazwisko jego staje się coraz głośniejsze. Gdzie tylko jakiś interes jest do zrobienia, wszędzie nazwisko Bryla figuruje. We Lwowie zakładają stowarzyszenie do eksploatacji lasów państwowych „Polska Sosna“, poseł Bryl jest jego promotorem, gdy jednak sprawa trąci nieco skandalem, spółkę p. Bryl porzuca. W spółce „Zrąb“ także ma coś do gadania. „Pan Bóg mu także błogosławi“, bo w krótkim czasie nabywa we Lwowie coś ze 7 kamienic, a na prowincji folwarki. Przez dłuższy czas głównym jego wspólnikiem jest sławny aferzysta, b. redaktor „Piasta“ Dr. Jan Gagattek. Te operacje zwracają uwagę opinii publicznej na osobę Bryla, a nazwisko jego w krytycznym oświetleniu coraz częściej pojawia się na łamach prasy, zwłaszcza, gdy w niewłaściwy sposób dostaje p. Bryl w posiadanie drukarnię i wydawnictwo „Prawdy“ w Krakowie. Artykuły w prasie zniewalają p. Bryla do powierzenia czyszczenia swego honoru sądowi obywatelskiemu, który jednak wyrokuje na niekorzyść p. Bryla, choć w sądzie tym siedzą i jego przyjaciele polityczni Lasocki i Wasung. „Słowo Polskie“ w artykule p. t. „Wyroki sądu obywatelskiego“ o tym sądzie pisze, co następuje:

„Tych dni zapadł wyrok sądu obywatelskiego, złożonego z pp. dr. Józefa Brzeskiego, dr. Zygmunta Lasockiego, dr. Bogusława Longchampsza i Jana Wasunga, jako sędziów, oraz dr. Włodzimierza Godlewskiego jako zwierzchnika sądu, ustanowionego przez Syndykat dziennikarzy polskich, na żądanie posła Jana

Bryla, który się uczuł dotkniętym w swej czci artykułami ogłoszonymi w „Słowie Polskim“ z 25. grudnia 1920 i 4. stycznia 1921 roku.

„Wyrok ten, uznając większość postawionych p. Brylowi zarzutów za nieuzasadnione lub nieudowodnione, stwierdza jednak

1) „W dwóch wypadkach stwierdzili świadkowie bicie jeńców przez posła Bryla, co poseł Bryl tłumaczy w jednym wypadku lenistwem, a w drugim zuchwałym zachowaniem się jeńca“.

2) „Kupno gruntów w Zagórzcu w ilości 18 morgów, 1200 sążni przez żonę posła Bryla nie licuje z działalnością posła Bryla (posiadającego już folwark 133 i pół morga, oraz realność 4 morgową), który głosi się zwolennikiem jak najradykałniejszej reformy rolnej“.

3) „W memorjale z 29. kwietnia 1921 r. podał poseł Bryl, iż nabył w czasie od listopada 1917 do końca r. 1918 siedm realności we Lwowie i folwark w Beremowcach i uiścił tytułem cen kupna za te nieruchomości około 700 tysięcy koron gotówką“.

„Posiadanie tak ogromnej na owe czasy gotówki, tłumaczył poseł Bryl w ten sposób, że jego przyjaciel osobisty i polityczny p. Kazimierz Jampolski sprzedał w tym czasie majątek swój Łowcze za przeszło trzy miliony koron i dał mu do dyspozycji nieograniczony kredyt“...

„Badając stan faktyczny nabrał Sąd obywatelski przekonania, że p. K. Jampolski odnosił się do p. posła Bryla z bezgranicznym zaufaniem, nie uważając za potrzebne ubezpieczać swych praw ścisłymi pisemnymi umowami, co mu dzisiaj dochodzenie jego pretensji bardzo utrudnia“.

„Oceniając cały stosunek wzajemny posła Bryla i p. K. Jampolskiego, orzeka Sąd obywatelski, że poseł Bryl wykorzystał dla swej materialnej korzyści zaufanie przyjaciela, a zatem postąpił wbrew zasadom etyki“.

Nic dziwnego, że osobnik, którego hipoteka obciążona jest takim wyrokiem, musi ograniczać się do robienia interesów, bo droga do kariery politycznej jest dlań zamknięta. Gdy się tworzył „centrolew“ na terenie sejmowym, już on odżegnywał się od kandydatury ministerjalnej p. Bryla, to samo uczyniła i prawica, choć p. Witos radby temu — jego zdaniem — dzielnemu chłopskiemu synowi, który potrafił zrobić duży majątek — fotel ministerjalny podsunąć, jednak nadaremnie. Na Brylu sprawdza



się zdanie: „zmartwychwstaje się z pod gromu, nie zmartwychwstaje z pod sromu“.

\* \* \*

Pokrewnym Bryłowi typem jest Dr. Jan Gagatek. Jako akademik w r. 1914 był współredaktorem „Piasta”. Ten wychowanek ze szkoły Rączkowskiego w czasie wojny wstąpił się w powiecie brzeskim aferami zasiłkowymi. Od odpowiedzialności kryminalnej wybronił się, udając z powodzeniem warjata. Po wojnie organizował inwalidów, nie zapominając przy tem o własnej kieszeni. W robieniu dobrych interesów dopomagali mu poseł Szmigieli i Bryl. Biedny chudzina za parę lat został jednym z najbogatszych ludzi w Polsce, a że od czasu do czasu prowadzono go przed kratki sądowe, to jednak fantazji jego nie szkodziło. W r. 1922 mimo wszystko miał odwagę w tarnowskim kandydować na posła pod firmą związku inwalidów, popierany serdecznie przez... Jana Stapińskiego. Typowy paskarz i dorobkiewicz wojenny!

\* \* \*

Organem P. S. L. był przez przeszło dwadzieścia lat „Przyjaciel Ludu”. Naczelnym redaktorem i odpowiedzialnym był Stapiński. Pewien tylko czas był i Bojko. Stapiński był i dlatego odpowiedzialnym redaktorem, że jako posła broniła go nietykliwość poselska. Sejm, czy parlament w sprawach prasowych nie wydawały łatwo posłów do sądu przed trybunały Sądu przysięgłych i mimowoli niejednemu nie chciało się skarżyć posła w tak utrudnionych warunkach. Inna rzecz, że Stapiński w ostatnich czasach taką miał opinię, iż nikt nie chciał robić mu zaszczytu, by z nim wodzić się po sądach i pozwalał bezkarnie Stapińskiemu wypisywać, co mu się żywnie podobało. Z chwilą utraty mandatu poselskiego — Stapiński w wypisywaniu obelg, czy oszczerstw się utemperował. W redakcji „Przyjaciela Ludu” pracowali także Jan Owiński, Jan Biedroń, Karol Kornicki (obecnie jeden z przywódców Narodowej Partji Robotniczej w Krakowie), Dr. Józef Putek, Józef Sanojca, Fryderyk Krasicki, N. Szczelina.

„Przyjaciel Ludu” rozchodził się — jak na owe czasy — silnie. W r. 1911 normalna ilość stanowiła cyfrę 17 tysięcy egzem-

plarzy, — podczas wyborów sejmowych, czy parlamentarnych rozchodziło się go i 50 tysięcy tygodniowo. W czasie tym to i zamożni członkowie stronnictwa łożyli na wydawnictwo w miarę sił i dobrej woli.

Administrację pisma długie lata prowadziła bardzo pracowicie i dzielnie p. Barbara Stapińska, żona Jana Stapińskiego. Przykuta obowiązkiem do tego, nieraz wbrew swoim zapatrywaniom, spełniała go z dużym zasobem energii i wytrwałości. Umiała przytem dobrać do siebie odpowiedni personal pomocniczy, dobrze nim komenderować, oraz przyuczać do wytrwałości i punktualności. Z personalu administracyjnego spamiętałem przede wszystkim p. Helenę Hellerową, p. Julję Dziekanową i p. Jadwigę Iszczukową. Niech to skromne wspomnienie o nich starczy im za uznanie tej pracy, za którą nie zawsze spotykały się z odpowiednią zapłatą i podziękowaniem. Dzielna administratorka Stapińska zmarła na trzy dni przed krakowskim kongresem w roku 1914. Stapiński wprost z pogrzebu żony z Wiednia przyjechał na ten smutny polityczny kongres.

\* \* \*

Po rozłamie P. S. L. Stapiński wydawał w dalszym ciągu „Przyjaciela Ludu”, grupa zaś Długosza zorganizowała nowe pismo, które pod nazwą „Piast” pojawiło się na politycznym horyzoncie. Pismo to, redagowane przez Józefa Rączkowskiego, liczy już obecnie 10-lecie swojego żywota. Podczas wojny rząd austriacki łaskawszym był na „Piasta”, niż na „Przyjaciela Ludu”, którego Stapińskiemu zamknął, z czego i Stapiński był zadowolony. „Piast” natomiast, jako jedyne pismo ludowe, pomieszczaniem list poległych, rannych i zaginionych, zyskał poczytność. W ten sposób „Piast” rozchodził się licznie i w kraju, jak również i po wszystkich frontach armji, gdzie tylko brzmiała mowa polska i gdzie nastawiali piersi Małopolanie. W zmartwychwstałej Polsce dla „Piasta” nastąpiła jeszcze szczęśliwsza era. Pismo to zostało naczelnym organem ludzi z Polskiej Komisji Likwidacyjnej; przez stosunki z niem mógł nie jeden przyjść w posiadanie płótna, skóry, a nawet jak Stanisław Cholewicki, niegdyś „stapińczyk”, a dziś „piastowiec” mógł przyjść w posiadanie „przy Boskiej pomocy” niebrzydkiego domku.



Brać łasa na grosz, chętnie goniła tam, gdzie można coś było oberwać i to nie w guzach i obelgach, ale w realnych zyskach. Tem trzeba sobie tłómaczyć, że wszyscy działacze, którzy uważali politykę za narzędzie do poprawy swego losu, znaleźli się na łonie piastowców. Tu przychodziło się do wszystkiego łatwiej, pewniej, — gdzieindziej tego się nie osiągało. Stapiński sam widział, że bractwo jego mocno się zmaterjalizowało, że tylko goni za zyskami, a ideały powiesiło na kołku, sprzykrzył sobie rolę przytrzymywacza ludzi przy dawnym odłamie stronnictwa, sam wreszcie na swój właściwy, chytry i sprytny sposób, rzekomo w myśl jedności chłopskiej, chciał wstąpić do piastowców, aby ratować resztę swoich wpływów i nie finansować więcej sprawy, która mu się nie opłacała. Ale garstka ludzi ideowych, ludzi młodych duchem, rwiących się jeszcze do szlachetniejszych rzeczy, niż koryto i barłóg wygodny, z Dr. Putkiem i Sanoją na czele, spowodowała odszczepieństwo od Stapińskiego i w tych warunkach zorganizowała nowe pismo ludowe, któremu dano bardzo trafną nazwę „Chłopski Sztandar“.

\* \* \*

W r. 1919 po wyborach sejmowych Stapiński znalazłszy się odosobniony na terenie sejmowym, tak zniechęcił się do polityki, że bliskim był wycofania się z życia politycznego. Nie chcąc zajmować się pismem, zgodził się na założenie „Chłopskiej Spółki Wydawniczej“, której oddał „Przyjaciela Ludu“. Prezesem Rady Nadzorczej tejże spółki wybrany został Dr Putek, dyrektorami zaś poseł Bochenek, Franciszek Giza oraz Stanisław Stączek. Stapiński, oddając spółce wydawnictwo, oddał jej właściwie zobowiązania same, a w szczególności główne zobowiązanie posyłania prenumeratorom gazety przez rok. Jakkolwiek on prenumeratę tę pobrał, to jednak gotówkę schował dla siebie, spółkę pozostawił zaś bez kapitałów. Oczywiście w takich warunkach spółka ta miała olbrzymie trudności do pokonania, trzeba bowiem było wysyłać prenumeratorom pismo, prenumerata zaś nie wpływała, bo tę z góry pobrał Stapiński. Nadszedł jednak dla pisma moment pomyślniejszy. Oto z Ameryki zaczęła napływać prenumerata dolarowa. Gdy to Stapiński spostrzegł, w tej chwili narzucił się spółce na opiekuna. W najlepszej wierze dyrekcja i rada nad-

zorcza „Chłopskiej Spółki Wydawniczej“, wydzierżawiły mu wydawnictwo na jeden rok, przyczem Stapiński zastrzegł sobie, iż wszelkie wpływy, nawet na stronnictwo przeznaczone, będzie odbierał sam i zużywał je według własnego uznania. Oczywiście początkowo nikt nie doceniał znaczenia tego manewru. Potem jednak pokazało się, że Stapińskiemu chodziło o nic więcej, tylko o przysporzenie sobie korzyści z dolarowej prenumeraty. Jak to musiał być popłatny interes widać z tego było, że syn jego porzucił znakomitą posadę w biurze naftowem, a przeniósł się do redakcji „Przyjaciela Ludu“ na administratora, celem rachowania dolarów. Taki stan rzeczy dotrwał aż do frondy, jaką Stapińskiemu posłowie urządzili Dr Putek, Sanoją, Seib, Bochenek i Śliwiński z racji konszachtów jego z Witosem. Fronda miała dwie drogi do wyboru: albo Stapińskiemu pismo w drodze procesu sądowego, odebrać albo założyć inne pismo. Wybrano tę drugą drogę, albowiem widoków na szybkie ukończenie procesu nie było, zaś zbliżający się termin wyborów do parlamentu naglił do założenia pisma. Założono więc „Chłopski Sztandar“, który zabrał „Przyjacielowi Ludu“ prenumeratorów. Stapiński dotąd jednak wydaje „Przyjaciela Ludu“, którego właścicielem jest nie on, lecz „Chłopska Spółka Wydawnicza“, na czele której stoi przeciwnik Stapińskiego — poseł Dr Putek, a większość członków stanowią „Wyzwoleńcy“. Że Stapińskiemu nie odebrano prawa prowadzenia tegoż pisma, zawdzięcza to niechęci do procesowania się z nim, bo zresztą pismo to w tej chwili — poza około dwustu prenumeratorami, rekrutującymi się z pośród zwolenników „Kościoła Narodowego“ w Ameryce — w Polsce nie ma żadnego oparcia. „Przyjaciela Ludu“ rozchodzi się w ilości około 400 egzemplarzy. Że pismo nie skapało, zawdzięcza to Stapiński dolarowej prenumeracie, wpłacanej przez wspomnianych zwolenników „Kościoła Narodowego“ i wysokiemu kursowi dolara. W opinii ludowej pismo to jednak uznane jest za trupa politycznego i bankruta. Sam Stapiński nie miał nabożeństwa do nazwy pisma, uznając, że taka nazwa, jak „Przyjaciela Ludu“ jest mdła i chłopu do przekonania nie trafiająca.

\* \* \*

W pierwszych dniach września 1922 r. wyszedł pierwszy numer „Chłopskiego Sztandaru“ w Krakowie, któremu pierwszą



finansową pomoc dali Chocznianie, wierni sprzymierzeńcy swego kochanego przewodcy Dra Józefa Putka, pod którego też naczelną redakcją pismo to się pojawiło. Stworzone przez niego Towarzystwo Wydawnicze uśmiercił swym ukazem wojewoda krakowski Gałęcki, ale to „Chłopskiego Sztandaru“ nie uśmierciło w zarodku. Dziś „Chłopski Sztandar“ przeszedł nietylko szczęśliwie okres dzieciństwa, ale czytany jest z większem pożądaniem, niż jego starsi konkurenci. Rozchodzi się on nietylko po całej Polsce, ale i wśród emigracji francuskiej i amerykańskiej, a polskie pisma amerykańskie całemi szpaltami przedrukowują artykuły „Chłopskiego Sztandaru“ na swoich łamach. Zdarzyło się nawet, że pewien artykuł Dra Putka, przetłómaczony na język angielski, znalazł się w bardzo poczytnem piśmie amerykańskiem „New York Herald“. Za rządów Witosa „Chłopski Sztandar“ był już kilkakrotnie razy konfiskowany, ale i ten sposób niszczenia go nie osiąga celu, a tylko stanowi dobrą dla niego reklamę i świadczy o jego demokratycznej wartości. Co pewien czas na łamach tego pisma pojawiają się sensacyjne artykuły, a artykuł p. t. „Jak klasztory w XX wieku odpuszczają grzechy?“ pojawił się nawet w wielu tysiącach egzemplarzy zbroszurowany, a treść jego szczególnie szerokiem echem odbiła się między rodakami amerykańskimi. „Chłopski Sztandar“ jest jedynem pismem polskiem, wychodzącym na wsi. Rodzinna wioska Putka może się poszczycić tem, że jest jedyną wsią polską, która tuli do siebie redakcję polskiego chłopskiego pisma:

\* \* \*

Taki jest skromny zbiorek politycznych sylwetek. Staralem się nakreślić je, nie żywiąc do nikogo uprzedzeń czy złości, a jeśli mimo to komu wpałitem coś dla niego niesympatycznego, to niech mi to wybaczy i pamięta przytem, że warto się czasem oglądać w zwierciadle swych własnych czynów, gdy je kto inny przystawi.



164849